

Gazeta Sremska

11-12/2021
ISSN 1232-7476
dwumiesięcznik
listopad/grudzień
XXXI
cena 5 zł

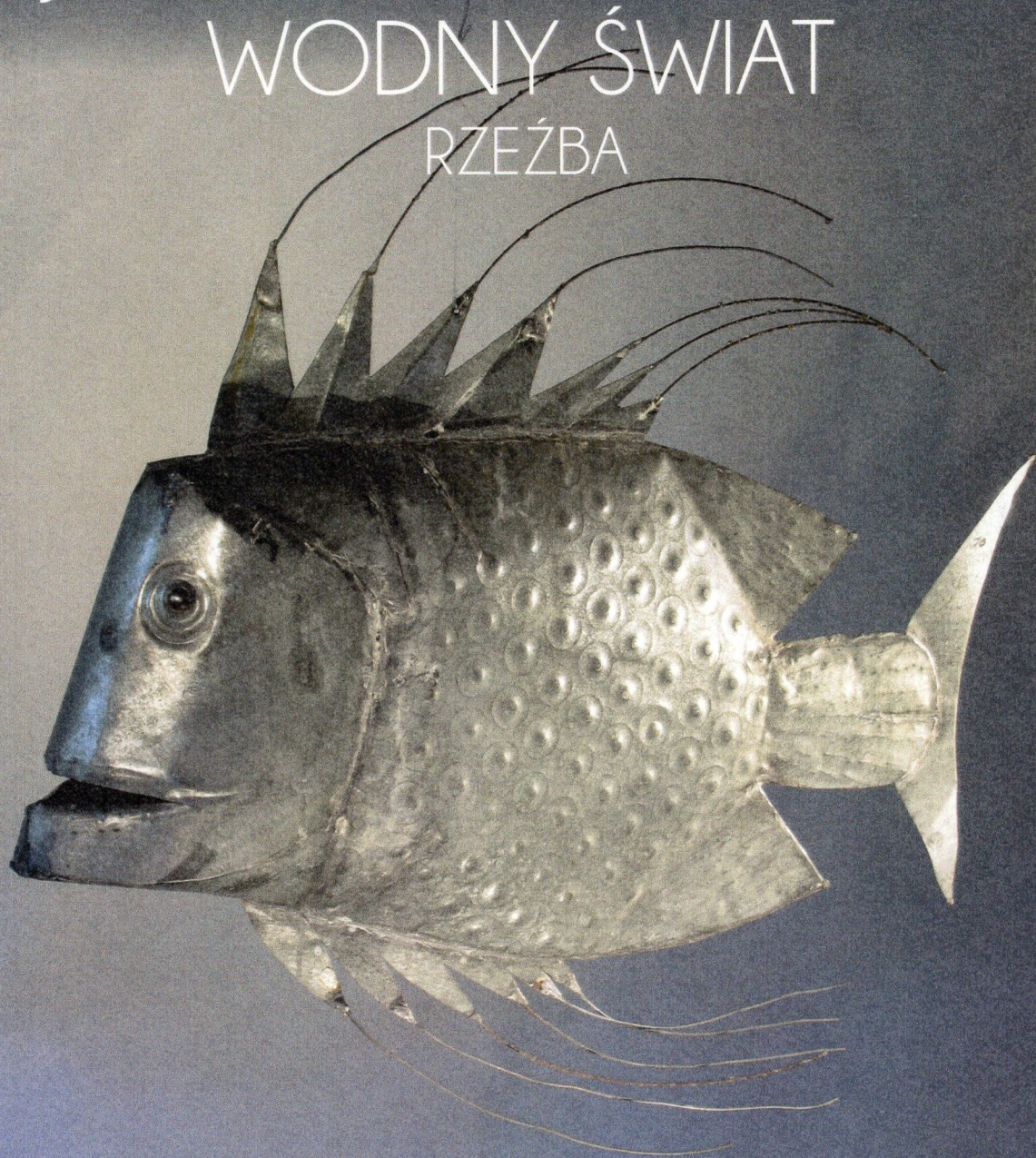


MI MUZEUM ŚREMSKIE

JÓZEF WILKOŃ

WODNY ŚWIAT

RZEŻBA



WERNISAŻ: 21.11 g.16.00 WYSTAWA: do 06.01.2022



Jerzy Jurga w Galerii Wybitnych Absolwentów LO w Śremie

17 września do Galerii Wybitnych Absolwentów śremskiego LO został wprowadzony Jerzy Jurga. Relację z uroczystości zamieszcza Adam Podsiadły.

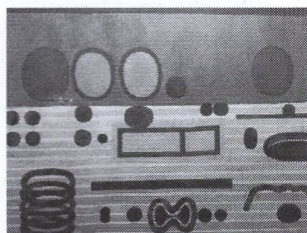
str. 15



Zasieki

Kolczasta zapora... kordon żołnierzy... i zmarznięci, przerażeni ludzie po drugiej stronie. Jak to możliwe? Trudne pytania zadaje Leszek Mańkowski.

str. 25



Łyk po łyku, kulturalnie

Papierowy świat śremskiej wystawy pokazuje uznanych artystów z mniej znanej strony. O wystawie *Drugi, papierowy łyk sztuki polskiej po 1945 r.* pisze Danuta Książkiewicz- Bartkowiak.

str. 36

Spis treści

str. 02	Muzealne odkrywki: Ignacy Mlicki
str. 05	Zapiski historyczne: Jak to w Śremie z żuzłem było. Część 4
str. 11	Wspomnienie o Aleksandrze Śmigielskim
str. 15	Jerzy Jurga w Galerii Wybitnych Absolwentów LO w Śremie
str. 17	Z pamiętnika starego: Zakonnice uciekły
str. 20	Na tropach lodowca... Część 13. Z nurtem Warty przez tysiąclecia
str. 25	Jestem, więc pytam: Zasieki
str. 28	Opowiadanie Marty Tok: Na słono. Opowiadanie wigilijne
str. 31	Warto przypomnieć: 100 lat Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu
str. 33	Mój Rzym. Część 6
str. 36	Łyk po łyku, kulturalnie

str. 38	Kwestionariusz kultury: Joanna Chmielewska
str. 40	Nasz Talent: Krzysztof Przyjemski
str. 42	Kino niewidzialne: <i>Zabij to i wyjedź z tego miasta</i>
str. 44	Z górnej półki: Lament
str. 46	Wszystko gra: Formy muzyczne – dwie symfonie numer 5
str. 48	Magdalena Abakanowicz – „jesteśmy strukturami włóknistymi”
str. 51	B&B przez Ameryki: Czas powrotu i podsumowań
str. 54	Okiem belfra: Szkoła bez zadań domowych?
str. 55	Wieści z ratusza
str. 58	Muzeum – wydarzenia
str. 60	ŚOK – wydarzenia
str. 62	Biblioteka – wydarzenia

Katarzyna GWINCIŃSKA

Muzealne odkrywki

Ignacy Mlicki, ziemianin z Pokrzywnicy

Wzrost 182 cm, włosy czarne, oczy piwne, twarz owalna... Rysopis z książeczki wojskowej potwierdzają fotografie, na których ponadto rysuje się pewna łagodność niezwykle przystojnego mężczyzny, choć to już spekulacje.

Ignacy Mlicki, ziemianin z Pokrzywnicy, lat 41 – ten lakoniczny zwrot pojawia się co roku, gdy wymieniamy nazwiska mężczyzn zamordowanych 20 października 1939 w publicznej egzekucji na rynku w Książu Wielkopolskim, Polaków uznanych przez hitlerowców za „szczególnie niebezpiecznych dla Rzeszy”. W istocie, byli dla

Niemców niebezpieczni jako liderzy lokalnych społeczności i często żołnierze zaprawieni w boju o niepodległość, jak podporucznik Ignacy Mlicki. Przypominamy jego postać w „Odkrywkach” ze względu na sensacyjne fotografie z powstańczego frontu, jakimi podzielił się z nami regionalista z Wrześni, Remigiusz Maćkowiak (fot. obok).

Urodził się 27 maja 1898 w Jerzycach w pow. strzeleckim na Kujawach, jako syn ziemianina Franciszka Mlickiego i Kazimierzy z d. Łyskowska. Wkrótce rodzice kupili majątek Obudno na Pałukach, 10 km od Żnina. Kształcił się w gimnazjum w Wągrowcu. Dlaczego nie w bliższym Inowrocławiu, nie wiadomo. Szkołę ukończył w 1917 roku bez złożenia matury. Mimo wieku poborowego uniknął powołania do armii niemieckiej, tak przynajmniej wynika z cytowanej już książeczki wojskowej. Musiał mieć jednak jakieś przeszkolenie wojskowe, bowiem ze strzelca, jakim został 1 stycznia 1919, wstępując do powstańczej kompanii żnińskiej, szybko awansował do stopnia sierżanta (20 kwietnia 1919). Walczył na froncie północnym powstania wielkopolskiego. W ofensywie pod Rudą, 1 lutego został ranny, jednakże niezbyt ciężko, bowiem 2 lutego 1919 został przydzielony do dowództwa II odcinka frontu północnego (nadnoteckiego) jako adiutant dowódcy, kpt. Jana Tomaszewskiego, następnie hrabiego Ignacego Mielżyńskiego. Latem 1919 ukończył kurs oficerów w Gnieźnie i został przydzielony do 9 Pułku Strzelców Wielkopolskich, następnie do Dowództwa Okręgu Generalnego w Poznaniu. 14 lutego 1920 otrzymał awans na podporucznika 67 Pułku Piechoty. Czy walczył na froncie wojny polsko-bolszewickiej, nie wiadomo. Został zwolniony do rezerwy 11 lutego 1922. Kilkakrotnie uczestniczył w ćwiczeniach rezerwy do 1937.

Ignacy Mlicki z żoną Hanną





19 lutego 1919, okolice Lubostronia. Dowódca odcinka łabiszyńskiego Ignacy Mielżyński (z charakterystyczną długą brodą, w dniu swoich 48. urodzin) wizytuje miejsca ostatnich walk powstania. Po lewej od dowódcy jego adiutant Ignacy Mlicki (najwyższy). U dołu: karczma w Antoniewie zburzona 17 lutego 1919. Fot. z arch. Remigiusza Maćkowiaka

**Komitet Organizacyjny ku uczczeniu Pamięci
Rozstrzelanych w Książu**

ma zaszczyt zaprosić

ob. *Mlicka z rodziny*

na

Uroczystość Żałobną

ku uczczeniu

**Pamięci Rozstrzelanych w roku 1939
na Rynku w Książu**

Uroczystość odbędzie się dnia 21 października 1945 roku,
według drugostronnego programu.

Ożenił się 14 lutego 1928 z Hanną Jaczyńską i zamieszkał z żoną w nabytym w tym samym roku majątku w Pokrzywnicy pod Dolskiem. W 1932 został odznaczony Krzyżem Niepodległości. Z relacji wnuczki Ignacego (w zasobach Izby Regionalnej w Dolsku) wiemy, że brał udział w kampanii wrześniowej 1939. Wrócił z frontu do domu. 19 października wieczorem został aresz-

towany przez Niemców i wraz z innymi wywieziony w niewiadomym kierunku. Żonie udało się ustalić, że do Książa, dokąd przybyła nazajutrz i wyprosiła u dowódcy widzenie z mężem. Egzekucja odbyła się o 17³⁰ 20 października 1939. Wieczorem tego dnia do Hanny Mlickiej zapukał ów niemiecki dowódca. Oddał jej obrączkę, sygnet i książeczkę wojskową męża. Ten honorowy gest bynajmniej nie zmył hańby egzekucji, która jak się później okazało, była jedną z wielu w tych dniach w Wielkopolsce.

Uroczyste odsłonięcie pomnika ofiar egzekucji i poświęcenie ich wspólnego grobu na cmentarzu w Książu zgromadziło prawdziwe tłumy. Wstrząsające wydarzenie żyło w pamięci świadków i nie traciło na sile. Wnuczka pamięta opowieść babci Hanny o jej ostatniej bodajże wizycie w Książu. Przy zakupie kwiatów lub zniczy, w rozmowie ze sprzedawcą wyznała cel zakupu. Wówczas sprzedawca odmówił przyjęcia zapłaty. „To przecież nasi bohaterowie” – usłyszała.

21 X 1945, rynek w Książu Wielkopolskim, uroczyste odsłonięcie pomnika obywateli rozstrzelanych na rynku 20 X 1939. Na pierwszym planie rodziny rozstrzelanych, centralnie z przodu (przy dziewczynce w białej czapce) Hanna Mlicka (?). Fot. z zasobów WIR Książ Wielkopolski. Powyżej fragment zaproszenia na tę uroczystość z arch. rodziny Mlickich



Adam PODSIADŁY

Jak to w Śremie z żużlem było. Część 4

Zapiski historyczne

Ostatnia część zarysu historii sportu żużlowego w Śremie będzie poświęcona sylwetkom czołowych zawodników, którzy brali udział w rywalizacji na poziomie III i II ligi w barwach Śremskiego Klubu Sportowego „Sparta” w latach 1956–1963.

Na podstawie własnych ustaleń oraz informacji udostępnionych przez redaktora Wiesława Dobruszka z Leszna, ta „lista startowa” obejmuje blisko 30 motocyklistów (patrz spis nazwisk podany w cz. 3).

Na początek odpowiedzmy na pytanie: w jaki sposób pozyskiwano zawodników, którzy orientowali się w tym, „co jest na rzeczy” w specyfice wyczynowego ścigania się na żużlu, posiadali do tego smykałkę i już pewne doświadczenia w tej niełatwej dyscyplinie sportu? Początkowo do drużyny przyjmowano chętnych, którzy wcześniej brali udział w wyścigach szosowych i rajdach motocyklowych i odnosili w tej rywalizacji pewne sukcesy. Później, gdy drużyna przystąpiła do krajowych rozgrywek ligowych, zjawiali się w Śremie żużlowcy z innych klubów. W ten sposób na przykład pozyskano z leszczyńskiej „Unii” Andrzeja i Jerzego Bartoszkiewiczów i Janusza Cichoszewskiego. Z „Kolejarza” Rawicz przeszedł Wacław Wechman. Władysław Grabowski, Kazimierz Michalak i Kazimierz Olejnik startowali wcześniej w „Ostrovii” Ostrów, Franciszek Cieślowski w „Zgrzeblarkach” Zielona Góra. Edward Mielcarzewicz przed przejściem do ekipy „Sparty” nie był zrzeszony w żadnym klubie.

Sportowe wymagania stawiane przed żużlowcami stopniowo rosły. Tym bardziej, że nie było porównania w technice prowadzenia motocykli przystosowanych z przeznaczonymi wyłącznie

do jazdy na żużlowym torze maszynami FIS. Startową formę szlifowano na własnym obiekcie w Parku Miejskim i na wyjazdowych obozach szkoleniowych, organizowanych przez „Unię” Leszno.

W zasadzie, w skład podstawowej kadry zawodników drużyny „Sparty” Śrem w sezonach ligowych wchodziło: Hipolit Kaźmierczak, Henryk Kaczmarek, Wacław Wechman, Jerzy Bartoszkiewicz, Zbigniew Flegel, Tadeusz Jurga, Jerzy Walewski, Edward Mielcarzewicz, Zygmunt Maćkowiak, L. Szulc. Wprowadzane zmiany wynikały głównie z powodu kontuzji, przerw na odbycie służby wojskowej (np. J. Walewski, E. Mielcarzewicz), rezygnacji ze startów i zakończenia kariery (H. Kaźmierczak, L. Szulc).

Hipolit Kaźmierczak (1927–1981), „Hipek”, bo tak się do niego zwracali koledzy i kibice, był przy narodzinach sportu żużlowego w Śremie pod koniec lat czterdziestych XX w. Należał do pokolenia, które zaczynało uprawianie żużla na maszynach przystosowanych. Debiutował na torze w 1948 r. w Gorzowie. Był pierwszym kapitanem ligowej drużyny „Sparty”. W meczach często wystawiany z pozycji rezerwy taktycznej. Jako zawodowy kierowca pomagał mechanikowi drużyny w przygotowaniu sprzętu. Uczył młodych adeptów żużla tajników jazdy na torze. Zrezygnował ze startów po sezonie 1960 r.

Bardzo wczesne zainteresowania motoryzacją **Henryka Kaczmarka** (1933–1999) wiązały się także z zawodem mechanika i kierowcy. Praktyczną naukę w tym fachu pobierał w warsztacie Stefana Ślązaka, gdzie zbierali się pionierzy śremskiego żużla. A Ślázak stał na czele klubu przez kilkanaście lat. Nic więc dziwnego, że Kaczmarek, jako niepełna 17-latek, trafił do „czarnego sportu”. Szybko czynił postępy, zdał



Na zdjęciu zawodnicy „Sparty” przed jednym z meczów wyjazdowych, o czym świadczą numery startowe. Edward Mielcarzewicz (4), Jerzy Bartoszkiewicz (5), Tadeusz Jurga (6), Leon Szulc (7).

licencję w 1950 r. i wszedł do podstawowego składu drużyny. Na maszynach przystosowanych zdobywał komplety punktów. Walnie się przyczynił do zdobycia mistrzostwa poznańskiej ligi okręgowej i wicemistrzostwa w rywalizacji strefy zachodniej. Odniósł indywidualne zwycięstwo w finale turnieju o „Puchar Złotu” w Gnieźnie. W meczach „Sparty” w III i II lidze z reguły nie zawodził i przewodził w klubowej klasyfikacji punktowej. O jego poziomie sportowym świadczy fakt powołania przez PZMot na Indywidualne Mistrzostwa Polski w Krakowie (1958 r.), gdzie zajął IX miejsce. Rok później piątą lokatą zakończył udział w „Kryterium Asów” rozgrywanym w Poznaniu. Był znany z nienagannej techniki, zdecydowanych wyjść spod taśmy, nieustępliwości. Wśród rywali słynny był jego „trick 13”. Pan Henryk zapytany kiedyś przeze mnie, na czym on polegał, wyjaśnił, że był to manewr

zwalniający jazdę przy krawężniku pierwszego łuku, który powodował niechybnie odjazd atakującego rywala pod samą bandę. Mimo propozycji przejścia do innych klubów (m.in. „Starta” Gniezno) do końca kariery H. Kaczmarek pozostał wierny śremskiej „Sparcie”, aż do ostatniego jej występu w II lidze.

Jerzy Bartoszkiewicz (1931–1980). Kiedy z rodzicami przeprowadził się z Rydzyny do Leszna zamieszkał po sąsiedzku z Alfredem i Zdzisławem Smoczykami, którzy zachęcili Jerzego i jego młodszego kuzyna Andrzeja do pierwszych prób jazdy na żuźlowych motorach. Długo nie trwało, jak trenerzy „Unii” zwrócili uwagę na wysokiego, bystrego chłopaka, który bez specjalnego szkolenia świetnie sobie radził na torze, potrafił wyczuć reakcje przeciwnika i nie bał się atakować z każdej pozycji. Znalazł się więc w grupie uczestników ogólnopolskiego obozu

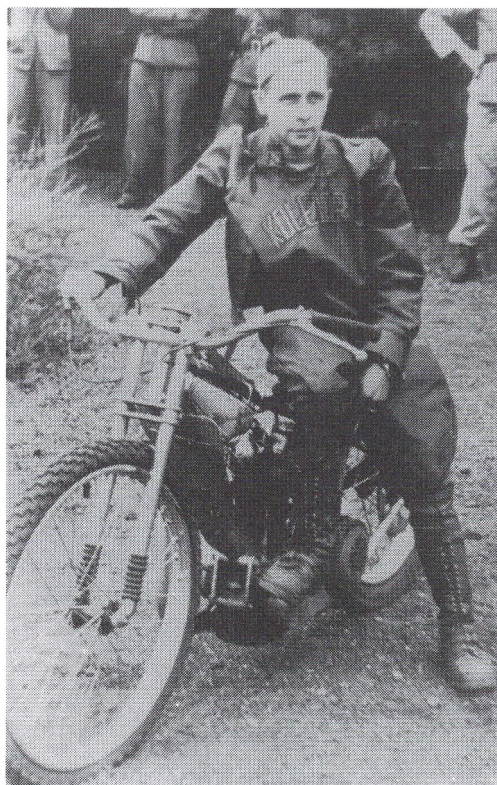


Pierwszy z prawej kierownik drużyny Alfred Nowak, Henryk Kaczmarek (1), Jerzy Walewski (2), Hipolit Kaźmierczak (3).
Fot. z arch. A. Podsiadłego

szkoleniowego dla żużlowców, zorganizowanego w Lesznie na przełomie marca i kwietnia 1950 r. Na jego zakończenie odbył się trójmecz, w którym Bartoszkiewicz zdobył 7 punktów i otrzymał licencję żużlową. Awansował także do składu leszczyńskiej drużyny w rozgrywkach poznańskiej ligi okręgowej na maszynach przystosowanych. Podczas służby wojskowej razem ze Zdzisławem Smoczykiem ścigali się w zespole CWKS „Legia” Warszawa. Po powrocie do cywila na starty w „Sparcie” namówił Bartoszkiewicza Bolesław Fryder, wielce zasłużony działacz śremskiego klubu.

Startował w nim przez sześć sezonów i był podporą drużyny. Niezwodny na własnym torze, rzadko też oglądał plecy rywali w pojedynkach wyjazdowych. Kibice pasjonowali się pojedynkami Bartoszkiewicza ze Zbigniewem Flegielem o pobicie rekordu śremskiego toru. Najlepszy

czas w pokonaniu czterech okrążeń własnego obiektu należał do Bartoszkiewicza od 1956 r. i wynosił 78,2 sek., i nigdy nie został poprawiony. Popularny „Bartek” zdobywał również czołowe miejsca w turniejach indywidualnych – III miejsce w „Kryterium Asów” na torze „Olimpii” Poznań. Z taką samą lokatą ukończył turniej 10-lecia „Sparty” Śrem. W 1963 r. zdecydował się przejść do I-ligowej „Stali” Gorzów. Rok później, wspólnie z Migosiem, Pogorzelskim, Juraszem, Flizikowskim i Pilarczykiem – zdobył tytuł i srebrny medal drużynowego wicemistrza Polski. Przyczynił się do powtórzenia przez „Stal” podobnego osiągnięcia jeszcze dwukrotnie. Z drużyny gorzowskiej przeszedł do „Polonii” Piła i dwa ostatnie sezony (1968–1969) startował w „Gwardii” Łódź. Nękany coraz bardziej kontuzjami, karierę żużlową zakończył zbliżając się do czterdziestki.

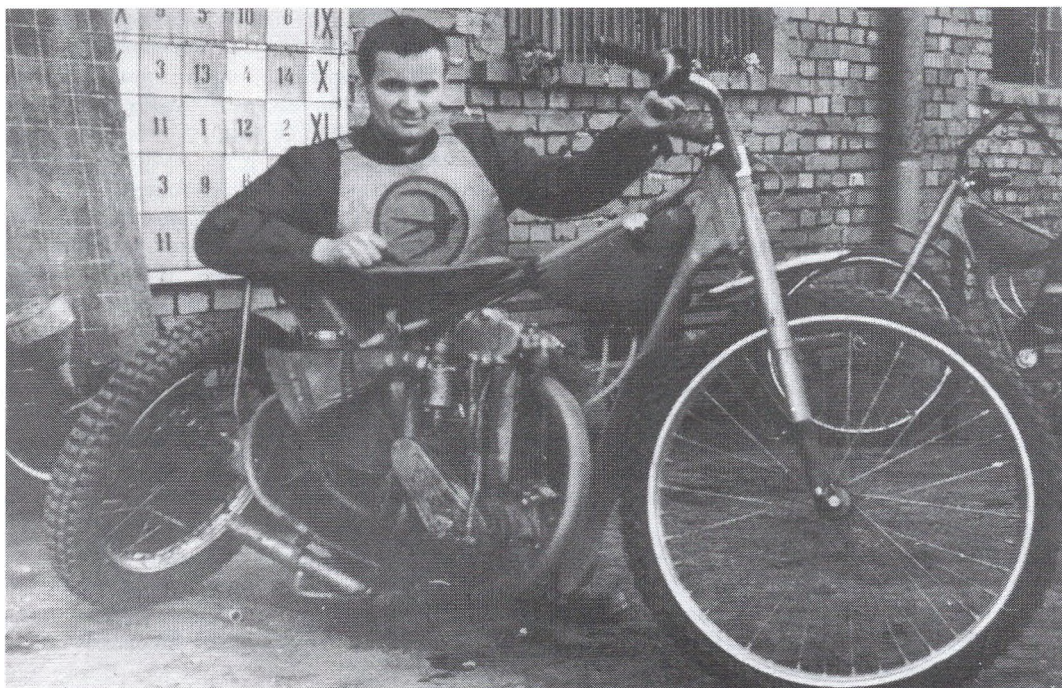


Wacław Wechman, jako zawodnik „Kolejarza” Rawicz. Fot. z arch. A. Podsiadłego

Wacław Wechman (1927–2004) pochodził z Gostynia. Był z zawodu ślusarzem. Od młodości marzył o własnym motocyklu i po wojnie sam złożył i przygotował do jazdy pozyskany z tzw. demobilu ciężkiego zündappa. W Gostyniu w owym czasie działa klub motorowy „Unia” i Wechman po uzyskaniu prawa jazdy zapisał się do niego. Niewysoki i drobny z postury chłopak szybko udowodnił swój talent do wyścigowej jazdy na motocyklach przystosowanych. W drugiej połowie lat czterdziestych wygrywał zawody w Gostyniu, Rawiczu i Śremie. W 1947 r. zdobył mistrzostwo „Gwardii” Śrem w klasie 200 i 250 ccm. Służba wojskowa w Olsztynie przerwała na dwa lata żuźlowe występy, ale w to miejsce zabrał się za boks, by utrzymać kondycję. I w ringu spisywał się znakomicie, zważywszy na wywalczenie tytułu mistrza Olsztyna w wadze piórkowej. Po powrocie do domu został zawodnikiem rawickiego „Kolejarza”, a w 1957 r. wzmocnił

III-ligową wówczas „Spartę” Śrem. Rok wcześniej został zaproszony przez „Polonię” Bydgoszcz na cykl meczów w Czechosłowacji. Z powodzeniem walczył na torach w Pradze, Slany, Pardubicach i Hradec Kralove. Z kolei na torze w Lesznie rywalizował z żuźlowcami ze Szwecji w turniejach indywidualnych. Najlepiej spisywał się jednak w śremskiej ekipie. Nie było rzadkością, że zbierał w meczu po 15 punktów dla swojej drużyny. Najlepsze rezultaty osiągał na twardych nawierzchniach. Posiadał „raketowe” starty i perfekcyjną umiejętność jazdy parą. Duetu Wechman-Jurga łatwo nie dało się pokonać. Musiał przerwać jazdę z powodu kontuzji w Rybniku. Zaraz po starcie nie opanował maszyny i po wysokiej „świecy” uderzył plecami o betonowy pas startowy i długo kurował odbite płuca i żebra. W „Sparcie” jeździł przez sześć sezonów.

Zbigniew Flegel (1936–1993). Śremianin z urodzenia. W zakładzie ojca wyuczył się zawodu mechanika. Debiutował na żużlu mając 11 lat, w biegu pokazowym juniorów na torze przy Nowej Strzelnicy we wrześniu 1947 r. (patrz foto. cz. 1). Dwa lata później odniósł pierwszy indywidualny sukces, zdobywając mistrzostwo sekcji ZS „Gwardia” na maszynach przystosowanych w kat. 1000 ccm. Licencję sportową PZMot uzyskał w 1955 r. Startował na przemian w drużynie „Sparty” i leśzczyńskiej „Unii” w zawodach III, II i I ligi. W Śremie spędził cztery sezony (1960–1963). W klasyfikacji indywidualnej zawodników II ligi w sezonie 1963 r. był 14 z wynikiem 2.23 pkt. na mecz. Brał udział w zastępstwie w ekipie zielonogórskich „Zgrzeblarek”. W 1965 r. przeniósł się do „Unii” Tarnów. Był kapitanem drużyny i miał swój wkład w jej awans do I ligi Drużynowych Mistrzostw Polski. W barwach „Unii” wystąpił w 85 meczach. Startował w wielu turniejach indywidualnych w obsadzie krajowej i międzynarodowej. Zajął I m. w jubileuszowym turnieju o puchar 10-lecia śremskiej „Sparty” (1956 r.), w XVIII Memoriale im. Alfreda Smoczyka zajął IV miejsce (1969 r.), w Srebrnym Kaszu w turnieju nr 5 (1967 r.) miejsce II. Był w półfinale Indywidualnych Mistrzostw Polski (1967 r.). „Binder” (taki miał przydomek Z. Flegel) fizycznie nie prezentował się jako tytan „czarnego sportu”, co nie przeszkadzało mu w demonstrowaniu podczas wyścigu odważnej jazdy



Zbigniew Flegel w plastronie tarnowskiej „Unii”. Fot. z arch. A. Podsiadłego

i błyskotliwych manewrów przy wyprzedzaniu rywali. Bez wątpienia należał do liderów śremskiej drużyny. Po zakończeniu czynnej kariery sportowej pracował w roli mechanika w klubowym warsztacie „Unii” Tarnów.

Edward Mielcarzewicz (1938–2001) pochodził ze Środy Wlkp. W młodości, jako kibic oglądał żużel w Śremie i któregoś razu zapytał Stefana Ślązaka, czy mógłby się zapisać do sekcijnej szkoły. W niej rozpoczął treningi i po kilku sprawdzianach na torze otrzymał licencję zawodnika. W ligowym meczu „Sparty” zadebiutował na własnym torze przeciwko piłskiej „Polonii” w 1957 r. W kolejnym sezonie startował w 18 meczach i zdobył 86 punktów (czwarta pod tym względem lokata w drużynie). Pod koniec 1958 r. trafił do wojska w Zielonej Górze i jeździł do zakończenia służby w ekipie „Zgrzeblarek”. W latach 1960–1962 ponownie występował w „Sparcie”. E. Mielcarzewicz wyróżniał się techniką jazdy na wirażach i na tych odcinkach toru najczęściej skutecznie atakował i wyprzedzał rywali. Preferował jazdę na bardziej kop-

nych nawierzchniach. Zawsze dysponował świetnie przygotowanym motocyklem, jako mechanik bardzo dbał, aby jego sprzęt nie zawodził.

W rodzinie Walewskich z Grzymisławia niedaleko Śremu, żużel był z pewnością sportem numer 1. Czołowym zawodnikiem ZS „Gwardia” był Zdzisław Walewski (ur. 1936). Przez jeden sezon startował w meczach III ligi, do czasu powołania do wojska (1957 r.). Henryk Walewski był kilka sezonów kierownikiem drużyny i pełnił funkcję podprowadzającego zawodników pod taśmę startową. **Jerzy Walewski** (1939–2016), najmłodszy z braci, licencję zawodnika otrzymał w 1958 r. W pierwszym występie przed własną publicznością w wygranym przez gospodarzy meczu przeciw „Sparcie” II Wrocław zdobył 8 punktów i potwierdził tym rezultatem stałe miejsce w drużynie. Był zawodnikiem, który z polotem i przemyślanym sprytem ogrywał w pojedynkach ligowych znacznie bardziej doświadczonych rywali. Szczególnie dobrze czuł się na mocno przyczepnej nawierzchni. Poza torrem skromny i opanowany, ale za kierownicą

żużlowej maszyny zmieniał się w nieustępliwego wojownika. Niestety, karierę Jerzego Walewskiego przerywały kontuzje. Długo leczył się po wypadku podczas meczu w Czeladzi w maju 1959 r. Po wyleczeniu urazu wrócił do drużyny i z powodzeniem startował aż do feralnego meczu z „Kolejarzem” w Opolu (15 IV 1962 r.). Po spóźnionym starcie został ostro zablokowany przez miejscowego zawodnika, przeokoziłkował przez kierownicę motocykla i z impetem uderzył w drewnianą bandę. Nieprzytomnego żużlowca odwieziono do szpitala. To zdarzenie wykluczyło jego dalsze ściganie na żużlu. W karierze żużlowej wystąpił w 40 meczach. Warto wspomnieć i o tym, że ojciec żużlowców Zdzisława, Henryka i Jerzego – Ludwik Walewski należał wiele lat do zarządu śremskiego klubu i zespołu technicznego przygotowującego zawody na torze w Parku Miejskim.

Tadeusz Jurga (1937–1984), już po początkowych próbach w jeździe na żużlu pokazał wrodzony talent do ścigania się na motorze. Dysponował własną maszyną marki esso i potrafił z niej „wycisnąć” na prostych odcinkach toru znaczną przewagę prędkości nad przeciwnikami.

Na podium najlepsi żużlowcy w turnieju indywidualnym o puchar 10-lecia ŚKS „Sparta” (21 X 1956 r.). Z trofeum za zwycięstwo stoi na pierwszym stopniu podium Zbigniew Flegel, II m. – Zdzisław Waliński („Unia” Leszno), III m. Jerzy Bartoszkiewicz.



Nie bał się podejmowania ryzykownych manewrów wyprzedzania przy samej bandzie. Nie przepadał za treningami tzw. suchej zaprawy w sali „Bazar”, więc nie zawsze wytrzymywał kondycyjnie cały mecz. Tak samo, jak H. Kaczmarek startował w „Sparcie” przez wszystkie sezony (osiem) do wycofania drużyny z rozgrywek.

Leon Szulc (1929–1980) był zawodnikiem występującym przeważnie z pozycji rezerwowego. Startował w drużynie „Sparty” w dwóch pierwszych ligowych sezonach rozgrywek (1956–1957), ale z powodzeniem jeździł we wcześniejszych latach na maszynach przystosowanych.

Józef Urbaniak (1936–1982), już w pierwszym sezonie startów w meczu (7 X 1956 r.) na własnym torze ze „Stalą” Gorzów po starcie na wirażu uderzył w bandę, złamał biodro i nogę. Po tym wypadku już nie wrócił do żużla.

Zygmunt Maćkowiak (?-?), niewysoki z lekką nadwagą (stał przydomek wśród kolegów – „Klopsik”), bronił barw „Sparty” trzy sezony. Wiele punktów meczowych zdobywał na twardych torach we Wrocławiu, Częstochowie i Rzeszowie.

Interesujące są zbiorcze rezultaty zdobytych punktowych zaczerpnięte z protokołów z zawodów, które pokazują sportowy wkład żużlowców „Sparty” na przestrzeni wszystkich startów w barwach śremskiego klubu. Na czele tej klasyfikacji znajduje się H. Kaczmarek – 594 pkt., za nim W. Wechman – 568 pkt., Z. Flegel – 381 pkt., J. Walewski – 240 pkt., J. Bartoszkiewicz – 221 pkt., T. Jurga – 207 pkt., E. Mielcarzewicz – 120 pkt., Z. Maćkowiak – 76 pkt., L. Szulc – 68 pkt. H. Kaźmierczak – 52 pkt., J. Urbaniak – 31 pkt.

W kilku miejscach cyklu: „Jak to w Śremie z żużlem było” podałem, że przygoda śremskiej „Sparty” i jej kibiców z żużlem zakończyła się w 1963 r. Jednak precyzja w podawaniu faktów wymaga w tej kwestii wyjaśnienia ze strony autora. Drużyna stanęła do rozgrywek Drużynowych Mistrzostw Polski II ligi w 1964 r. Jednak po sromotnie przegranym meczu X rundy z „Motorem” Lublin na swoim torze (5 VII 1964 r.) „Sparta” została wycofana z rozgrywek, aby do nich już nigdy nie powrócić, a wyniki z jej udziałem anulowano. Wobec tych okoliczności należy przyjąć, że smutny koniec zmagania na żużlowym torze w Śremie nastąpił w roku 1963.

Ewa NOWAK, Sebastian IGNASIAK, Barbara JAHNS

Wspomnienie o Aleksandrze Śmigielskim

EWA NOWAK

15 czerwca 2021 roku umarł Aleksander Śmigielski. We wrześniu skończyłby 90 lat. Odszedł wielki miłośnik historii. Skarbnica wiedzy o Śremie. Strażnik historii rodziny Szczepskich i rodzinnych pamiątek. Wieloletni współpracownik i przyjaciel Muzeum i „Gazety Śremskiej”. Stały bywalec wystaw i muzealnych spotkań. Będzie nam brakowało Jego wiedzy i spotkań z Nim. Wiele śremskich tajemnic nie zostanie już wyjaśnionych.

Aleksander Śmigielski urodził się 27 września 1931 roku w Lesznie. Ojciec, Stefan Śmigielski był pracownikiem Urzędu Miar i Wag w Lesznie. Matka Halina Śmigielska z d. Szczepka była gospodynią domową. W 1938 roku rozpoczął naukę w szkole powszechnej przy ul. Szkolnej w Śremie. Jako 8-letnie dziecko we wrześniu 1939 roku był świadkiem bombardowania Śremu i październikowej egzekucji Polaków na śremskim rynku. Pamiętał walki o Śrem zimą 1945 roku. Podczas okupacji wraz z rodziną trafili do obozu przejściowego w Łodzi. Z wykształcenia był ekonomistą. Ukończył Warszawską SGPiS (obecnie SGH). Przez długi czas mieszkał i pracował w Warszawie. Poznał jej historię. Był również przewodnikiem po Warszawie, miał do tego stosowne uprawnienia. Znał dwa języki – rosyjski i niemiecki. Wrócił do Śremu po śmierci matki i zamieszkał w rodzinnym domu przy ul. Ogrodowej 7.

Warto tu przypomnieć, że Aleksander Śmigielski jest wnukiem Sylwestra Szczepskiego, właściciela jednego z dwóch śremskich młynów. Dbanie o pamięć o rodzinie, tak bardzo związanej z historią miasta, przechowywanie dokumentów, dbanie o niszczejący młyn, stały się dla niego rzeczami najważniejszymi.

Jeszcze parę lat temu przemierzał ulice Śremu, pieszo lub starym rowerem. Pamiętamy jego coraz bardziej przygarbioną, charakterystyczną sylwetkę. Zawsze w kaszkiecie, marynarce, z nieodłączną teczką. Zimą w futrzanej uszatce i pamiętającej wiele pelisie. Opiekował się domem i ogrodem, ogromnym rodzinnym archiwum, które chociaż nieuporządkowane, dzięki niemu przetrwało. W tym pozornym bałaganie pan Aleksander zawsze umiał znaleźć potrzebną fotografię czy dokument. Do niedawna niezbyt chętnie dzielił się rodzinnymi pamiątkami. Nie

Aleksander Śmigielski w dniu 88. urodzin.
Fot. Ewa Nowak





Aleksander Śmigieński z rodziną na wystawie Szczepscy w Muzeum Śremskim w grudniu 2019. Fot. R. Lewandowski

chciał się ich pozbywać. Wiele zmieniło się w 2019 roku. Wtedy wpadłam na pomysł zorganizowania w Muzeum Śremskim historycznej, przekrojowej wystawy o rodzinie Szczepskich. Ten pomysł bardzo mu się spodobał. I od tego momentu nasza współpraca nabrała innego wymiaru. Udostępnił wiele ważnych, dotąd niepokazywanych dokumentów, fotografii, pamiątek. Z wielkim zaangażowaniem opowiadał rodzinne historie i tłumaczył zawilgości. Z tych opowieści powstała wystawa SZCZEPSCY. Ten czas spotkań, rozmów, przeszukiwań rodzinnego archiwum był dla pana Aleksandra niezwykle ważny. Dla mnie też. Aleksander Śmigieński był człowiekiem dumnym i upartym. Żył tak jak chciał, w sposób jaki sobie wybrał.

SEBASTIAN IGNASIAK

Pasją Pana Aleksandra Śmigieńskiego była historia. Uwielbiał czytać książki i czasopisma z tej dziedziny. Najbardziej interesowały go dzieje Śremu, regionu oraz II wojna światowa. Posiadał pokaźny księgozbiór. W domowej bibliotece

znajdowały się – obok dzieł historycznych – przewodniki turystyczne i literatura piękna. Za interesowanie historią miasta i okolicy nie ograniczało się w jego przypadku tylko do lektury lokalnych wydawnictw. Informacje i materiały pozyskiwał w drodze osobistych kontaktów. Każdą fotografię starał się jak najdokładniej opisać. W latach 80. podjął współpracę z Muzeum Śremskim. Obiecał swoje wsparcie w rozwiązywaniu zagadek historycznych związanych ze Śremem i użyczanie zgromadzonych przez siebie materiałów na potrzeby wystaw. Pomagał w poszukiwaniu rodzin osób, które zamieszkiwały w przeszłości Śrem. Służył również swoją wiedzą. Pamiętał miasto, postacie, miejsca i zdarzenia, z okresu krótko przed wybuchem II wojny światowej i czasów okupacji. Był świadkiem rozstrzelania niemieckich dywersantów w Parku im. Powstańców Wielkopolskich (3 września 1939 roku) i walk o oswobodzenie Śremu (23 stycznia 1945 roku). Swoimi wspomnieniami dzielił się z młodzieżą szkolną, podczas organizowanych w muzeum prelekcji, które stanowiły dopełnienie

ekspozycji czasowych. Wykłady poruszały tematy Żydów w Śremie, eksterminacji ludności i życia codziennego w powiecie śremskim i wyzwolenia Śremu. Osoby szukające odpowiedzi na nurtujące ich pytania, mające związek z historią lokalną, a nie mogące znaleźć odpowiedzi w muzeum, były kierowane właśnie do niego. Pisywał także do „Gazety Śremskiej”. Ważne miejsce w jego życiu zajmowało pielęgnowanie pamięci o osobie jego dziadka Sylwestra Szczepskiego, budowniczego i właściciela młyna oraz prezesa Towarzystwa Upiększania Miasta Śremu, który miał wielki wkład w rozwój parku (Park Miejski im. Powstańców Wielkopolskich). W 1988 roku napisał o Sylwestrze Szczepskim artykuł biograficzny, który został opublikowany w „Głosie Śremskim”. W tym samym roku uczestniczył w otwarciu placu zabaw w Parku im. Powstańców Wielkopolskich, któremu nadano imię Sylwestra Szczepskiego. Podarował też kamień młyński pod tablicę upamiętniającą Ogródek Jordanowski im. Sylwestra Szczepskiego, która została odsłonięta w 2011 roku. Wziął też udział w tej uroczystości.

W 2019 roku spuścizną po rodzinie Szczepskich zainteresowało się Muzeum Śremskie. Pan Aleksander udostępnił na wystawę pamiątki rodzinne będące w jego posiadaniu. Wernisaż wystawy zatytułowanej „Szczepscy” odbył się 7 grudnia 2019 roku. Zwiedzający mogli zapoznać się z historią młyna i rodziny Szczepskich, przedstawioną na 16 planszach i obejrzeć umieszczone w gablotach pamiątki. 13 grudnia 2019 roku zarejestrowano pana Aleksandra opowiadającego historię przedsiębiorstwa i rodziny Szczepskich. Przystawał przy każdej z plansz i uzupełniał jej treść o dodatkowe fakty, ciekawostki i anegdoty. W 2020 roku podjął decyzję o przekazaniu wszystkich pamiątek zaprezentowanych na wystawie do zbiorów muzeum. Trafiło tam również archiwum młyna, które zawiera dokumentację zakładu z trzech okresów: przed wybuchem wojny, okupacji i lat 1945–1949 (do momentu nacjonalizacji młyna, która nastąpiła 4 maja 1949 roku). Wśród najstarszych źródeł należy wymienić trzy pisma, z lat 1905–1907, sygnowane przez mistrza młynarskiego Sylwestra Szczepskiego. Jest to bardzo ciekawy materiał źródłowy dla autora przyszłej monografii młyna. Pan Aleksander wystąpił w filmach do-



Aleksander Śmigielski i Janusz Skotarczak przed wykładem Żydzi w Śremie. Fot. z arch. MŚ

kumentalnych i historycznych, które zostały zrealizowane w Śremie. W roli świadka pojawił się w dokumencie zatytułowanym *Liść klonu*, który opowiadał m.in. o egzekucji Polaków, przeprowadzonej przez Niemców w Śremie, 20 października 1939 roku. W filmie *Tajemnica Warty* pytany był o istnienie przejścia pod rzeką. Był też statystą w jednym z odcinków kultowego serialu pt. *Polskie drogi*. Zagrał w nim funkcjonariusza granatowej policji. Znał języki obce: niemiecki i rosyjski. Potrafił odczytywać dokumenty, pisa-
ne gotykami. Kochał podróżować. Zachwycał się zabytkami i muzeami. Lubił pokazywać swoim znajomym fotografie z podróży. O pobytach za granicą opowiadał barwnie, pokazując na mapie zwiedzane miejsca.

Spędziłem z nim wiele czasu na rozmowach o historii Śremu i nie tylko. Pomagałem mu też w codziennych i urzędowych sprawach. Lubiłem z nim rozmawiać i spacerować.



Aleksander Śmigieński podczas wykładu *Żydzi w Śremie* dla młodzieży śremskiego LO. Fot. z arch. MŚ

BARBARA JAHNS

Któż nie znał tego ekscentrycznego regionalisty z głową pełną obrazów, wiedzy historycznej, informacji o ludziach i dziejach ziemi śremskiej. Gdy rozpoczynałam swoją pracę na stanowisku muzealnika, pierwszą osobą spotkaną podczas wystawy o II wojnie światowej był właśnie pan Aleksander Śmigieński. Zaskoczyła mnie jego erudycja i wręcz encyklopedyczna wiedza. Zadeklarował, że chętnie pomoże w rozwiązywaniu „zagadek historycznych” dotyczących regionu, udostępni swoje zbiory w celach wystawienniczych oraz podzieli się swoją wiedzą. Był słowny. Przez 40 lat współpracy z muzeum, nigdy nie zostawił prośby czy pytania bez odpowiedzi. Wzruszające chwile przeżywaliśmy za sprawą pomocy pana Aleksandra Śmigieńskiego, kiedy śremlanie z odległych zakątków kraju czy świata znajdowali po wielu latach rozłąki swoich krewnych i znajomych. Pozwalał udostępniać swój numer kontaktowy osobom poszukującym. Wcielał się w rolę „detektywa”. Oj, ileż historii zostało odkrytych! Czasami trudnych, czasem zaskakujących. Łzy wzruszenia towarzyszyły spotkaniom po latach. Taki był. Pomocny.

Gdy zaproponowaliśmy szkołom lekcje muzealne dotyczące naszej Małej Ojczyzny, w roli wykładowcy „obsadziliśmy” pana Aleksandra. Tematy wykładów: *Żydzi w Śremie*, *Eksterminacja ludności i życie codzienne w powiecie śremskim podczas II Wojny Światowej*, *Wyzwolenie Śremu*. Wykłady były uzupełnieniem wystaw czasowych. Frekwencja przerosła nasze oczekiwania. Z wielką radością obserwowaliśmy reakcje młodzieży podczas tych spotkań. Pan Śmigieński potrafił złapać doskonały kontakt z młodymi. Był szczery. Nie pozostawiał pytań bez odpowiedzi. Nieoceniona była jego pomoc podczas realizacji filmów dokumentalnych o naszym mieście i jego historii. Wielokrotnie wypowiadał się przed kamerą. Wszystko rejestrowała TV Relax. Jest więc materiał, który jako zapis kronikarski dziejów może służyć kolejnym pokoleniom. Pan Aleksander Śmigieński na zawsze pozostanie w historii naszego miasta.

Adam PODSIADŁY

Jerzy Jurga w Galerii Wybitnych Absolwentów Liceum Ogólnokształcącego w Śremie

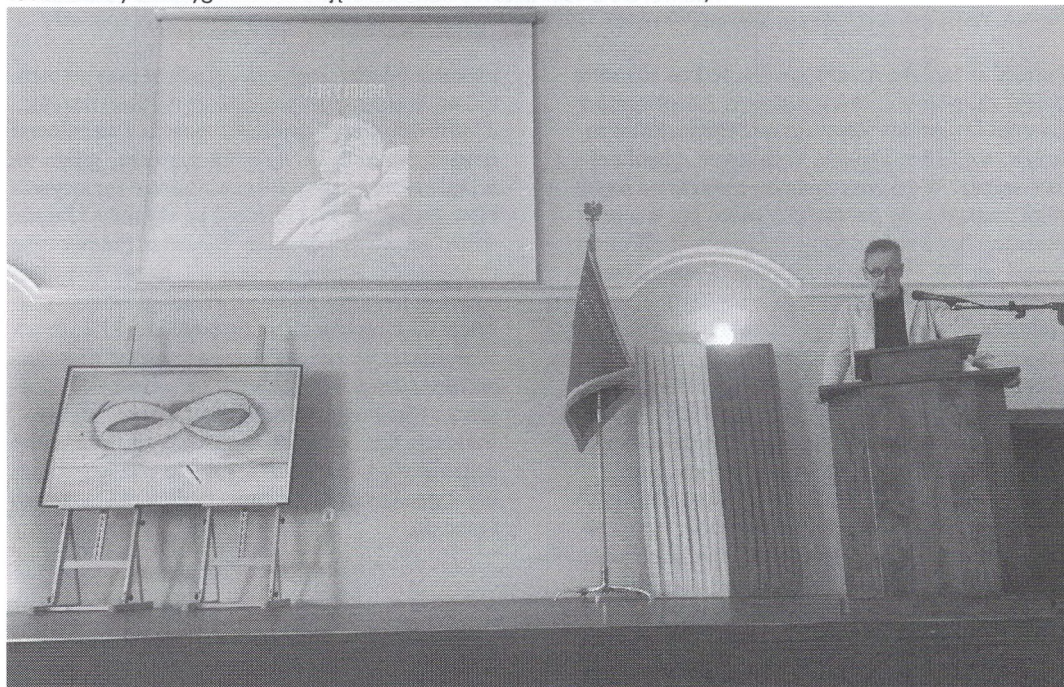
Jerzy Jurga (1940–2009) był uczniem Liceum Ogólnokształcącego w Śremie, które ukończył w 1958 r. egzaminem maturalnym. W tej szkole średniej pracował później przez kilkanaście lat jako nauczyciel plastyki. Równolegle realizował swoją wielką życiową pasję – malarstwo, a z czasem także zaczął budować kusze. Był znawcą historii sztuki. Współpracował z placówkami kultury w Śremie, w mieście rodzinnym, gdzie spędził całe życie.

Jego obrazy, instalacje plastyczne i egzemplarze wspomnianej broni miotającej, pokazywane były

na dziesiątkach wystaw indywidualnych i zbiorowych w Polsce i za granicą.

We wrześniu 2019 r., w 80. rocznicę urodzin artysty w salach Muzeum Śremskiego można było oglądać monograficzną wystawę, przypominającą dorobek Jerzego Jurgi. Ekspozycja zrealizowana według koncepcji i aranżacji Tadeusza Wętyczki, została wyróżniona nagrodą „Izabella” w konkursie na Wydarzenie Muzealne Roku, przyznawaną przez Marszałka Województwa Wielkopolskiego.

Tadeusz Wętyczko wygłasza laudację w auli Liceum w Śremie. Fot. A. Podsiadły





Uczestnicy uroczystości przed Liceum w Śremie. Od lewej: uczniowie Franciszek Leonardczyk i Aleksander Czarnecki, Tadeusz Węliczko, Jakub Jurga, Tadeusz Polowczyk, Grzegorz Jankowiak, Włodzimierz Szerement. Fot. A. Podsiadły

Pamięć o Jerzym Jurdzie trwała będzie również dzięki zamysłowi Stowarzyszenia Absolwentów Liceum Ogólnokształcącego w Śremie, które założyło w 2013 r. Galerię Wybitnych Absolwentów szkoły. W jej zaszczytnym poczcie od tegoż roku znalazło się dwanaście osób. Na wniosek Fundacji im. Jerzego Jurgi w Śremie i jej Patron został do tej Galerii uroczystie wprowadzony w dniu 17 września 2021 r. jako trzynasty.

Gabriela Wasielewska, przewodnicząca Stowarzyszenia Absolwentów, w słowie wstępnym uroczystości nawiązała do idei i celów galerii. Odczytała treść uchwały Zarządu Stowarzyszenia, stanowiącej formalnie o wyróżnieniu postaci Jerzego Jurgi w tym symbolicznym miejscu.

W okolicznościowej laudacji – Tadeusz Węliczko zarysował działalność artystyczną, oryginalność sztuki malarskiej, wskazał na indywidualne cechy artysty, które decydowały o jego wolności twórczej. We fragmencie mowy przywołał osobiste wspomnienia, jako wychowanka Jerzego Jurgi w śremskim liceum. Powiedział z uznaniem

i wzruszeniem o jego ważnej roli w przygotowaniu do studiów plastycznych na wyższej uczelni. Z auli szkolnej zaproszeni goście i uczniowie liceum przeszli do holu na parterze, gdzie na ścianie umieszczona została tablica z życiorysem i fotografią artysty. Odsłonili ją – Monika i Jakub, dzieci artysty, z udziałem Tadeusza Polowczyka (przyjaciela Jerzego Jurgi od czasu wspólnej nauki w liceum i matury). Przed głównym wejściem do budynku na ul. Poznańskiej 11 Tadeusz Węliczko i uczniowie liceum, laureaci olimpiad przedmiotowych: Franciszek Leonardczyk i Aleksander Czarnecki odsłonili pamiątkowy medal. Fundacja im. Jerzego Jurgi wsparła finansowo organizację uroczystości, przede wszystkim pokrywając koszty wykonania tablicy pamiątkowej i medalu.

Leszek MAŃKOWSKI

Zakonnice uciekły

Z pamiętnika starego

Wiedział świat i wiedziała Polska cała, że na wielkopolskiej ziemi żyje olbrzym, który od lat dźwiga wielki gmach gospodarstwa krajowego i to obcym i wrogom służyło za hasło, a Polsce za naukę, pociechę i bodziec do pracy i naśladowania¹.

W 2009 r. przypadała 160. rocznica urodzin ks. Piotra Wawrzyniaka, w następnym zaś roku – setna rocznica jego śmierci. Na rocznicowe, dwuletnie obchody w Śremie złożyło się kilkadziesiąt przedsięwzięć – uroczystości, wydarzenia kulturalne i oświatowe, imprezy rozrywkowe – zorganizowanych przez szereg instytucji przy wsparciu gminnego samorządu. Po rozpoczęciu obchodów w styczniu 2009 r. uroczystościami w Wyrzece i Śremie, jednym z pierwszych wydarzeń była inscenizacja teatralna. Na scenie kinoteatru Słonko wystąpili nauczyciele Gimnazjum nr 2 im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie. Mielśmy już wtedy doświadczenia spektakli wystawianych przez nasz Teatr Nauczycielskiego Pokoju od kilku lat w szkolnej auli dla gimnazjalistów, ich rodziców, mieszkańców Śremu. Tym razem poprzeczkę zawiesiliśmy sobie bardzo wysoko. Jak w krótkim czasie przedstawić człowieka tak wybitnego, niezwykłego, wszechstronnego? Jak ukazać ks. Piotra Wawrzyniaka nie jako postać pomnikową, ale – człowieka z krwi i kości, z jego umiejętnościami, determinacją i wiarą; człowieka pełnego zalet, przy tym nie pozbawionego wad, przywar i śmiesznośtek? W pisaniu tekstu pomogły mi biografie księdza Wawrzyniaka. Pierwszą napisał jego współpracownik, ks. Kazimierz Zimmermann – ktoś, kto znał Patrona z bliska. Jest tam taki fragment: „Zabór pruski czerpał z niego bezpośrednio swą siłę, pożywienie i postęp, ale tylko ci, którzy w jego cieniu własnym stawali i dotrzeć mogli do

jego wnętrza, ci wśród nieustannie rosnącego zdumienia poznawali coraz lepiej jego wielkość i wzniosłość i różnorodność i głębię wewnętrzną i bogactwo niewysłowione. [...] Ale tylko tym, którzy w jego znajdowali się pobliżu, przedstawiał się w całym swym ogromie potęgi ducha, siły woli, rozmiarów poświęcenia jako działacz społeczny i w całej podziw budzącej indywidualności jako człowiek”²³.

Biografie były znakomitą inspiracją. Czasem wystarczała krótka anegdota, jak choćby ta: ksiądz nie widząc lepszego sposobu pozbycia się gadatliwych zakonnic, zaczął zdejmować sutannę – spanikowane siostry szybko wyszły...

Fabula została oparta na autentycznych wydarzeniach, ale przedstawiono je w sposób z konieczności skrótowy, uproszczony, często – humorystyczny. Całość akcji została umiejscowiona w Śremie, nawet jeśli wybrane sytuacje w rzeczywistości działy się gdzie indziej. Chronologia zdarzeń nie miała większego znaczenia. Było nieco fantazji, znacząco tekst ubarwili swoimi pomysłami nauczyciele (aktorzy od pierwszej próby polubili swoje role). Fakt sprowadzenia przez ks. Wawrzyniaka do Śremu siostr elżbietanek został wykorzystany maksymalnie: brakowało parytetu w aktorskim zespole, za to było dużo chętnych do przyobleczenia się w habity, więc zakonnicami były też dziennikarki katolickich pism oraz również wymyślona sekretarka księdza. Dla wzmocnienia historycznego przekazu sceniczne śremskie elżbietanki otrzymały imiona: Dezyderia, Hipolita, Heliodora, Floriana i Augustyna. Co do księdza Patrona, to – przy zachowaniu jego legendarnej małomówności i zewnętrznej oschłości oraz statycznej fizjonomii – został „doposażony” głosem ujawniającym na bieżąco jego myśli.



Od lewej: Janusz Wojciechowski, Grażyna Opielewicz, Iwona Gorzkiewicz, Katarzyna Kwiręg, Alina Kapałka.
Fot. z arch. L. Mańkowskiego

26 marca 2009 r. odbyła się premiera spektaklu *Sceny z życia Księdza Patrona*. Widzowie uzyskali sporą dawkę wiedzy i rozrywki. Było trochę ekonomii, polityki, obyczajów, religii... i sporo humoru. Był ks. Wawrzyniak w pigułce, a właściwie w 12 pigułkach, bo z tyłu scen zbudowany był spektakl. Pokazani zostali przedstawiciele społeczeństwa: parafianki ze Śremu, gospodyni z Wyrzeki, rzemieślnik z Grodzewa, uczennice szkoły dla dziewcząt, bankowcy – Polak i Żyd, śremskie siostry elżbietanki.

W postać ks. Piotra Wawrzyniaka wcielił się Janusz Wojciechowski. Drugą wiodącą postacią przedstawienia, sekretarkę księdza zagrała Grażyna Opielewicz. Elżbietankami ze Śremu były: Elżbieta Wiczyńska, Aleksandra Ratajczak, Justyna Łuczak, Hanna Jaskułowska-Kabat, Ewa Kaźmierczak (dyrektorka ŚOK, wcześniej też nauczycielka naszej szkoły) oraz Magdalena Wojciechowska. Jako dziennikarki zaproszone do ks. Patrona na konferencję prasową występowały: Katarzyna Kwiręg, Alina Kapałka, Iwona Gorzkiewicz oraz Katarzyna Talaga. Gadatliwy-

mi parafiankami, w regionalnych ludowych strojach, wracającymi z procesji i dzielącymi się opiniami o księdzu proboszczu były: Aleksandra Tomczak, Danuta Grześkowiak, Anna Jakuszek i Aleksandra Skotarczak. Jako członkowie zarządu banku wystąpili Jan Weis i Piotr Rojek. Arleta Kajetańczyk zagrała wiejską gospodynię, a Szymon Duszcza – rzemieślnika. Uczennicami szkoły dla dziewcząt były: Daria Płygawko, Monika Graefling, Joanna Wojciechowska, Ewa Szałek, Anna Szymańska oraz Daria Siczyńska; ich nauczycielką zaś, prowadzącą lekcję plenerową w parku – Beata Lewandowska. Spoza sceny wsparcia udzielali: Dorota Konieczna – czytająca komentarze, wprowadzenia do kolejnych scen oraz Bogusław Banachowicz – oznajmijający, co ksiądz „miał na myśli”. Mariola Bujakiewicz wypełniała zadania asystentki reżysera. Stylowa scenografia była dziełem Ewy Kaźmierczak i Agnieszki Dzikowskiej (ŚOK). Habity zaprojektowała Mirosława Golińska. Autorem i realizatorem oprawy muzycznej spektaklu był Maciej Paterczyk.



Od lewej: Jan Weis, Piotr Rojek, Janusz Wojciechowski. Fot. z arch. L. Mańkowskiego

W marcu i kwietniu odbyło się w Słonku kolejnych sześć przedstawień. Zostaliśmy zaproszeni do Mogilna, w listopadzie 2009 r. wystąpiliśmy w tamtejszym kinie Wawrzyn. Ostatnie przedstawienie odbyło we wrześniu następnego roku, na scenie zaimprovizowanej w kościele pw. Ducha Św., podczas poświęconego ks. Piotrowi Wawrzyniakowi Dnia Kapłana. Nasz spektakl obejrżeli wówczas wierni przybyli do Śremu m.in. z Poznania, Wrześni, Kościana, a także spoza Wielkopolski.

Sceny z życia Księdza Patrona spodobały się widzom. Recenzje, relacje w mediach były pełne pochwał. A słowa krytyki? Trochę uwag było, choćby ta, że jedna z naszych elżbietanek miała pomalowane paznokcie. Hm, a może to była jakaś, niezrealizowana do dziś, antycypacja?

Sceny z życia Księdza Patrona

Autor i reżyser: Leszek Mańkowski.

Wykonanie:

Teatr Nauczycielskiego Pokoju.

Organizacja:

Gimnazjum nr 2 im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie i Śremski Ośrodek Kultury przy pomocy Urzędu Miejskiego w Śremie i Muzeum Śremskiego.

Premiera:

29 marca 2009 r., Kinoteatr Słonko w Śremie

PRZYPISY

¹ ks. dr Kazimierz Zimmermann, *Ks. Patron Wawrzyniak*, Kraków 1911.

² Tamże.

Michał LORENC

Z nurtem Warty przez tysiąclecia

Na tropach lodowca... Część 13

W dotychczasowych artykułach tego cyklu zapoznaliśmy się z formami rzeźby terenu, które na ziemi śremskiej utworzył i pozostawił po sobie lądolód skandynawski – główny bohater cyklu. Poznaliśmy zatem rzeźbę polodowcową ziemi śremskiej. Przypomnijmy, że powyższy lądolód powstał około 25 000 lat temu w północnej Skandynawii, w rezultacie postępującego ochłodzenia klimatu. W kolejnych tysiącach zwiększał swój zasięg i grubość, docierając do Europy środkowej, w tym również na ziemię śremską. Nastąpiło to nieco ponad 20 000 lat temu. Ziemia śremska została wówczas przykryta warstwą lodu o grubości rzędu 400-500 metrów. Dla porównania, wysokość masztu radiowo-telewizyjnego we wsi Góra koło Śremu wynosi 290 metrów. Pomimo to, już około 19 500 lat temu, tym razem w wyniku postępującego ocieplenia klimatu, lądolód wytopiał się i ustępował z ziemi śremskiej. Wytapianie i w rezultacie zanik lodowego giganta następował z podobną prędkością, jak jego rozwój. Dlatego już około 14 000 lat temu lądolód opuścił teren dzisiejszej Polski, a dalszy jego zanik postępował na obszarze tworzącego się Bałtyku, a później w Skandynawii. W ten sposób na ziemiach polskich rozpoczął się niezwykle interesujący okres czasu zwany późnym glaciałem (schyłek okresu glacialnego, czyli lodowcowego). Jego początek miał zatem miejsce około 14 000 lat temu. Okres ten trwał około 4500 lat. Jest to zatem przedział czasu, w którym na północy Europy postępował zanik lądolodu, a na uwolnionych spod lodu ziemiach polskich i oczywiście na ziemi śremskiej również, rozwijały się różnorodne procesy i zjawiska przyrodnicze nie tylko modyfikujące rzeźbę polodowcową, ale tworzące nowe formy rzeźby terenu. W poprzednim artykule tego cyklu zapoznaliśmy

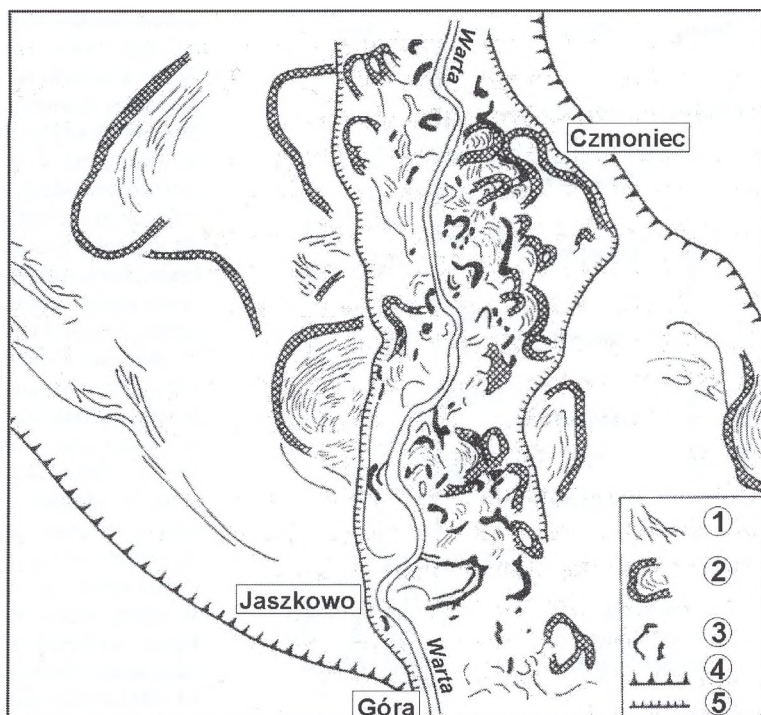
się z powstałymi w tym czasie na ziemi śremskiej śródlądowymi wydmi. Tym razem zainteresujemy się zmianami, którym w późnym glacialem podlegała rzeka Warta i jej dolina. Ich pierwotny charakter był bowiem zdecydowanie odmienny od obecnego. Podobnie jak w przypadku wydym, zmianom tym sprzyjały wyraźne wahania warunków klimatycznych. Późny glaciał to bowiem swoista huśtawka klimatyczna, gdyż krótkotrwałe ochłodzenia przeplatały się z ociepleniami klimatu (tabela).

Jak zapewne pamiętamy, na odcinku śremskim Warta płynie w Pradolinie Warszawsko-Berlińskiej („GŚ” 9-10/2019). Jest to rozległe – o szerokości kilku kilometrów i głębokie obniżenie dolinne, ciągnące się od okolic Warszawy po okolice Berlina. Powstało w okresie zaniku lądolodu, gdy jego czoło znajdowało się nieznacznie na północ od Śremu, czyli 19 000–18 000 lat temu. Lód blokował w owym czasie odpływ rzek płynących z południa ku północy. W rezultacie potężne masy wód wszystkich tych rzek, wraz z wodą pochodzącą z topnienia lądolodu, spływały wzdłuż jego czoła na zachód, w kierunku Berlina, tworząc wspomnianą pradolinę.

Po ustąpieniu lądolodu pradolinę zaczęły wykorzystywać wody pra-Warty. Jednak aż po początek późnego glaciału klimat nadal pozostawał zimny – subarktyczny. Teren niemal całkowicie pozbawiony był roślinności. Co więcej, był trwale przemarznięty na głębokość wielu metrów. Tylko na krótko, w okresie nieco cieplejszych miesięcy letnich, odmrażał przy powierzchni. Była to zatem tzw. wieczna zmarzlina. Te dwie cechy podłoża, zatem brak pokrywy roślinnej i jego trwale przemarznięcie, wywierały ogromny wpływ na charakter pra-Warty. Woda nie mogła bowiem wsiąkać w twarde, przemarznięte

Rysunek:
Starorzecza Warty
poniżej Śremu
(wg S. Kozarskiego 1983)

- 1 – ślady koryt roztokowych,
- 2 – duże starorzecza z późnego glaciału,
- 3 – małe starorzecza z holocenu,
- 4 – krawędź pradoliny,
- 5 – krawędź współczesnych terenów zalewowych Warty



podłoże pradoliny. Zatem cała jej objętość spływała po powierzchni terenu. Ponadto, rzeka transportowała ogromną ilość piasku i żwiru, które w owym czasie grubą warstwą pokrywały całe dno pradoliny. Były to piaski i żwiry pochodzące jeszcze z okresu obecności lądolodu na ziemi śremskiej. Pra-Warta była wręcz przeciążona masą tego transportowanego materiału. Skutkowało to gromadzeniem potężnych ilości piasku i żwiru w nurcie rzeki, co skutecznie utrudniało jej odpływ. Wody pra-Warty kluczyły zatem po dnie pradoliny, płynąc licznymi, wijącymi się korytami, błędzącymi pośród powstających łąch piasku i żwiru. Koryta te rozwidlały się i łączyły. Ich układ był bardzo niestabilny. Zmieniał się nawet z dnia na dzień. Były one szerokie, ale płytkie, a woda płynęła w nich bardzo szybko, burzliwie, niczym w górskim strumieniu. W rezultacie pra-Warta nie posiadała jednego, stabilnego koryta, jak ma to miejsce obecnie, lecz ogromną ilość drobnych, płytkich i krótkotrwałych koryt. To tzw. koryta roztokowe. W związku z tym pra-Warta była rzeką roztokową, zwaną

również rzeką warkoczową. Wijące się, rozwidlające i błędzące koryta kojarzą się bowiem z długimi, swobodnie opadającymi warkoczami (tabela). Brak wsiąkania wody w podłoże po silnych opadach lub po wiosennych roztopach powodował również powstawanie bardzo wysokich stanów wody w rzece. Objętość przepływu wody pra-Warty na ziemi śremskiej była w takich okresach blisko 10-krotnie większa niż obecnie! Zmieniało to i tak niestabilny układ koryt roztokowych tej rzeki, który po każdym takim wzebraniu ulegał całkowitej przebudowie. Obecnie rzeki warkoczowe, czyli roztokowe, możemy obserwować w strefie klimatu zimnego (subarktycznego), gdzie do dziś panują warunki zbliżone do tych, jakie od ustąpienia lądolodu po początek późnego glaciału istniały na ziemi śremskiej. Co ciekawe, znane są w Polsce odcinki dolin i rzek, których roztokowy charakter zachował się do dziś, choć są to sytuacje wyjątkowe np. Wisła między Ciechocinkiem a Solcem Kujawskim lub Proсна w pobliżu ujścia do Warty.

Okres	Klimat	Lata	Układ koryta
Holocen	Ocieplenie		
PÓŹNY GLACJAŁ lądolód poza ziemiami polskimi	Ochłodzenie	10 000	Rzeka meandrująca
	Ocieplenie	11 000	
	Ochłodzenie	11 800	
	Ocieplenie	12 000	
	Ochłodzenie	13 000	
	Ocieplenie	14 000	
	Ochłodzenie		Rzeka rozłokowa
GLACJAŁ obecność lądolodu na ziemiach polskich			

Tabela: Przemiany koryta Warty po ustąpieniu lądolodu

Ta sytuacja zaczęła ulegać zmianie dopiero podczas pierwszego ocieplenia klimatu w późnym glaciał, zatem około 13 000 lat temu (tabela). Średnia temperatura lipca sięgała wówczas 15°C (dziś wynosi około 18°C). Zimy były jednak dłuższe i znacznie bardziej mroźne niż obecnie. Postępował jednak stopniowy zanik wiecznej zmarzliny, co umożliwiło wsiąkanie wody w podłoże. Jednocześnie rzeka wymywała i niosła coraz mniejsze ilości piasku i żwiru, gdyż dno pradoliny i brzegi rzeki stabilizowała rozwijająca się roślinność. Pojawiły się nawet pierwsze lasy od ustąpienia lądolodu. Dzięki temu zamiast nadal zasypywać sobie odpływ transportowanym materiałem skalnym, tworząc kolejne koryta rozłokowe, rzeka zaczęła się wcinąć w podłoże, tworząc coraz bardziej ustabilizowane koryto. Spływ wody był więc coraz lepiej zorganizowany. Zmiany te oznaczają zanik koryt rozłokowych pra-Warty i jej przekształcenie z rzeki warkoczowej w rzekę meandrującą. Rzeka ta posiadała już swoje główne, względnie stabilne koryto, które

jednak bardzo silnie się wilo, tworząc ogromne rzeczne zakola, czyli meandry (tabela). Koryto Warty kluczyło wówczas niczym długa wstęga pomiędzy krawędziami pradoliny. Dlatego też, długość Warty była wówczas znacznie większa od dzisiejszej. Z tego okresu, co więcej, właśnie z ziemi śremskiej, znane są najstarsze znane zakola, czyli meandry Warty. Należą one również do najlepiej zbadanych i największych w skali kraju. Zazwyczaj są to płytkie, sierpowate obniżenia terenu, znakomicie wykształcone poniżej Śremu (rysunek). Obecnie są one odcięte od rzeki, znacznie oddalone od jej obecnego koryta, nawet poza zasięgiem współczesnych wylewów Warty, co dowodzi, jak silnie ta rzeka wila się w przeszłości. Jednak większość tych zakoli Warty, pochodzących z pierwszego ocieplenia późnego glaciału, już całkowicie zarosła roślinnością, ulegając przekształceniu w torfowiska. Te odcięte od obecnej rzeki fragmenty jej starego koryta zwane są starorzeczami.

W miarę upływu czasu koryto Warty było coraz lepiej wykształcone. Sprzyjało temu kolejne ocieplenie klimatu, które rozpoczęło się około 11 800 lat temu (tabela). Średnia temperatura lipca nieznacznie przekraczała wówczas 16°C. Szczególnie istotne było powstanie w owym czasie zwartych lasów, coraz bardziej stabilizujących dno pradoliny i brzegi rzeki. Niemal całkowicie zanikła wówczas wieczna zmarzlina. W rezultacie Warta coraz silniej wciną się w swoje podłoże, umacniając położenie swego koryta, nadal jednak silnie meandrując, tworząc ciągle bardzo duże zakola (rysunek). Ich dalszy rozwój zbliżał się jednak ku końcowi.

Z końcem późnego glaciału i na początku holocenu, zatem około 10 000 lat temu, nastąpiło kolejne ocieplenie klimatu (tabela). Wcinające się w podłoże dno Warty uzyskało poziom zbliżony do współczesnego. Prędkość spływu i objętość wody w rzece stopniowo się zmniejszały. Postępował bowiem szybki rozwój roślinności, która pobierała z podłoża i gromadziła w sobie ogromne ilości wody. Rozwój roślinności przyniósł również zarastanie powstałych wcześniej, dużych zakoli Warty. W rezultacie tych zmian, wielkość warciańskich zakoli ulegała redukcji. Już około 9000 lat temu system potężnych zakoli powstałych w późnym glaciał przestał funkcjonować, gdyż rzeka utworzyła mniejsze, ale licz-



Warciańskie starorzecza

niejsze meandry (tabela). Przez cały holocen powstawały kolejne ich generacje. Jedne zakola były porzucane przez rzekę, a inne były przez nią tworzone. Zakola, którymi rzeka przestawała płynąć, stawały się zatem starorzeczami, zbiornikami wody stojącej, co najwyżej okresowo użytkującymi połączenie z rzeką podczas wysokich stanów jej wody. To właśnie te starorzecza, zazwyczaj ciągle wypełnione wodą, otulone starymi wierzbami, dębami i innymi drzewami, nadają swoistego uroku współczesnej dolinie Warty (fotografie). Wiją się one wśród pastwisk i lasów, łączą i rozwidlają. Na ziemi śremskiej towarzyszą one Warcie zarówno powyżej, jak i poniżej Śreму. Są położone znacznie bliżej jej koryta, niż znacznie większe, lecz zarośnięte roślinnością starorzecza pochodzące z późnego glacjału (rysunek). Są one doskonale znane wszystkim uważnym obserwatorom przyrody, jak również wędkarzom.

Jednak znany nam, obecny wygląd doliny i rzeki Warty na ziemi śremskiej jest w ogromnym stopniu dziełem nie tylko sił natury, które kształ-

towały je przez tysiąclecia, ale także wcześniej-szych i obecnych działań człowieka. Regulacja krętego koryta rzeki, prowadzona na dużą skalę od połowy XIX wieku, spowodowała wyprostowanie i skrócenie koryta Warty oraz postępujące przesuszenie pradoliny. Jeszcze wcześniej rozpoczęte wylesianie doliny Warty, idące w parze z jej rolniczym zagospodarowaniem, silnie przekształciło pierwotny charakter otoczenia rzeki. Działania te zdecydowanie zmieniły jej charakter i krajobraz doliny Warty. Doprowadziły również do zwiększenia tempa i gwałtowności spływu wody, szczególnie podczas jej wysokich stanów, których częstotliwość także się zwiększyła.

Formami rzeźby terenu, które stanowią zapis przemian, którym podlegała pradolina i rzeka Warta, są zatem wspomniane starorzecza o różnym wieku i wielkości, a także, znacznie trudniejsze do zauważenia, progi w dnie pradoliny, będące zapisem wcinania się rzeki w podłoże. Wszystkie powyższe zmiany stanowiły pokłosie wcześniejszej obecności lądolodu na ziemi śremskiej oraz zmian warunków klimatycznych



Warciańskie starorzecza

następujących po jego zaniku, głównie w późnym glacie.

Należy dodać, że płynąca w pradolinie Warta i jej otoczenie na odcinku śremskim, ciągle wyróżnia się licznymi walorami przyrodniczymi i krajobrazowymi. Starorzecza różnego wieku, zarówno te starsze, zarośnięte przez roślinność i zatorfione (pochodzące z późnego glacialu), jak i te młodsze, ciągle wypełnione wodą (powstałe w holocenie), to swego rodzaju rodzyнки w cieście, nadające otoczeniu Warty niewątpliwy urok. Często stanowią one skarby przyrody ożywionej, będąc miejscem życia wielu gatunków roślin i zwierząt, w tym również podlegających prawnej ochronie. Starorzeczom towarzyszą zwykle lasy i pastwiska. Jest to obszar podlegający zdecydowanie mniejszej antropopresji, niż tereny położone poza pradoliną. Stąd zarówno poniżej, jak i powyżej Śreму, otoczenie Warty podlega prawnej ochronie. Powyżej Śreму, w pradolinie, znajduje się Zespół Przyrodniczo-Krajobrazowy Łęgi Mechlińskie, a poniżej Śremu, Rogaliński Park Krajobrazowy. Zarówno powyżej, jak i po-

nizej miasta, przyrodę pradoliny chronią dwa obszary sieci Natura 2000: „Ostoja Rogalińska” i „Rogalińska Dolina Warty”.

W kolejnym artykule tego cyklu pozostaniemy w pradolinie. Przyjrzymy się bowiem dalszym losom starorzeczy, a dokładniej procesom, które doprowadziły i ciągle prowadzą do ich zaniku, poprzez zarastanie roślinnością i powstawanie torfowisk. Są to również procesy rzeźbotwórcze, gdyż trwale przekształcają ukształtowanie pradoliny. Procesy te, stanowiąc pokłosie wcześniejszej obecności lądolodu, zdecydowanie wpisują się w treść naszej wyprawy po tropach lądolodu, którą kontynuujemy na łamach „Gazety Śremskiej”.

Tabela i fotografie Michał Lorenc

Leszek MAŃKOWSKI

Zasieki

Jestem, więc pytam

*Wspomniałem Campo di Fiori
W Warszawie przy karuzeli,
W pogodny wieczór wiosenny,
Przy dźwiękach skocznej muzyki.
Salwy za murem getta
Głuszyła skoczna melodia
I wzlatywały pary
Wysoko w pogodne niebo.¹*

Znów spotkamy się w wigilijny wieczór. Gdy tylko pokaże się pierwsza gwiazda, zaczniemy nasze rytuały. Przełamiemy się opłatkiem, zasiądziemy przy stole z dodatkowym nakryciem, przy którym puste krzesło... Obdarujemy się prezentami. Może pójdziemy na pasterkę, zaśpiewamy o stajence, o małym Jezusku płaczącym z zimna. Może w świąteczne dni, w domowym, rodzinnym cieple znajdziemy czas, by opowiedzieć dzieciom o trudach, które znosiła tamta Rodzina. O tym, jak musieli uchodzić z kraju...?

My okazjonalni. Z okazji świąt, rocznic, ważnych „dni” urządzamy narodowe, religijne, społeczne celebry. Obchodzimy: czcimy, pamiętamy, wyrażamy troskę, pomagamy, modlimy się, czasem nawet manifestujemy – my naród, my społeczeństwo. Wzywają, przypominają z państwowych i kościelnych wyżyn. Pisze ekscelencja: „niedawno obchodzony 107. Światowy Dzień Migranta i Uchodźcy staje się dla mnie stosowną okazją do ponownego przypomnienia chrześcijańskich zadań w stosunku do przybyszów...”.

Stosowne okazje. A tam jest człowiek – przemoknięty, zmarznięty i głodny, chory. Spogląda na polskie domy, czy ktoś otworzy mu drzwi? Ale – na pierwszym planie jest kolczasta zaporą i kordon żołnierzy... I co zrobimy z tym człowiekiem, Łazarzem, siedzącym pod naszym stołem? Co zrobimy, my – syci chrześcijanie?

Marek Edelman, jeden z przywódców powstania w getcie warszawskim, opowiedział o odbiorze karuzeli z drugiej strony muru: „Pierwszego dnia powstania w getcie ta karuzela była, ale się nie kręciła. Dopiero drugiego dnia zaczęła się kręcić i to było coś tragicznego. Przez okna było widać, jak się kręci, katarynka gra, spódnice dziewczyn, czerwone i niebieskie w białe grochy, powiewają na wietrze. To widzieliśmy z okien, i to było naszym przekleństwem. Tu się pali i zabijają, a tam się wszyscy śmieją i bawią”².

Co się z nami stało? Byliśmy tam przez lata. Tutaj, z bezpiecznej odległości oglądaliśmy tamte wydarzenia. Jakoś nas to obchodziło, dopóki na ich ziemiach byli Polacy. A teraz? „Dlaczego moi rodacy, którzy kiedyś dorabiali się w Libii i Syrii, budując tam mosty i fabryki, nie chcą dziś dać w Polsce szansy Libijczykom czy Syryjczykom, nawet wtedy, gdy stawką jest życie?”³ Obojętność, niewiedza, znieczulica... Bezsilność. Prerażająca świadomość, że my siedzimy w ciepłych domach, a gdzieś w krzakach są ludzie, którzy z wychłodzenia i głodu mogą umrzeć.

Jest prawda ekranu. Nieprzyjacieli codziennie przypuszcza szturm na naszą granicę. Chce się wedrzeć do polskich domów, siać terror i zniszczenie. Walki są zacięte, ale nasi żołnierze i funkcjonariusze nie ugną się i nie cofną. Padają dokładne liczby „udaremnionych prób nielegalnego przekroczenia granicy”. Stylistyka komunikatów z frontu: „islamscy imigranci szturmują naszą granicę”, „kolejny brutalny atak na polskich funkcjonariuszy i żołnierzy”. Zapewniają, że jesteśmy silni, zwarci, gotowi na odparcie inwazji terrorystów i zboczeńców, narkomanów, zoofilów i pedofilów. Ale – czy obrażki stłoczonych na ziemi, okutanych w koce ludzi pasują do batalistycznego tonu?

Prawda to, czy raczej teatr? Wołają, że jesteśmy ofiarą wojny hybrydowej, że uchodźcy są tylko narzędziem cynicznie wykorzystywanym. A więc wojna? Bo ten, który podpisuje, tym razem nie wygłasza orędzia – wierny kibic jest na meczu... Z historii wiemy, że mowa nienawiści – raz użyta w przestrzeni publicznej – żyje własnym życiem, zatruwa umysły i z czasem przejmuje władzę nad tymi, którzy się nią posługują. I nie jest istotne, czy ci, którzy mówią do kamer, wierzą w to, co mówią. Ważne jest podgrzewanie emocji, budowanie wizerunku wroga: przebiegłego, perfidnego, zdegenerowanego i odrażającego. Odhumanizowanie, obrzydzenie, zozydzenie obcego pomaga nadawcom przekazu, ale – może też „pomóc” odbiorcy. Człowiek bojący się nieznanego znajdzie wtedy usprawiedliwienie dla własnej – jeśli nie wrogości, to przynajmniej – bierności. Dla odwracania wzroku.

I tak powstają kolejne Campo di Fiori i nowe lunaparki w pobliżu murów...

Jasne – trzeba bronić państwowych granic, to nie tylko prawo, to obowiązek. Czy jednak nie można tego pogodzić z niesieniem pomocy ludziom, którzy – jak wszyscy przyznają – są wykorzystywani przez sąsiednią dyktaturę? Ludziom oszukanym, którzy znaleźli się w sytuacji dramatycznej, których stan wprost takiej pomocy wymaga. Czy mamy przyzwolić rządzącym na bezduszną polityczną grę – nawet jeśli polityczne racje są po naszej stronie? Czy polityka ma prowadzić do redukcji humanitaryzmu? Ma wpływać na wymiar naszego, mojego człowieczeństwa?

Jest prawda ekranu i jest Prawda: „byłem przybyszem...”. Słowa że każdemu, kto skrzywdzi najmniejszego, kamień młyński uwiązać do szyi trzeba, że wszystko, co uczynimy najmniejszym, uczynimy Chrystusowi. To tam o tym, by głód-

Tot. Roxana Tutaj



nych nakarmić, a spragnionych napoić i przyby-sza do domu przyjąć. Wierzymy, że księgi Pisma powstały z inspiracji Boga?

Ecce Homo. Kiedyś uciekał do obcego kraju i nikt nie sprawdzał, czy jego przybrany ojciec jest terrorystą. Znalazł dach nad głową w Egipcie – kraju, który przez Izraelitów był kojarzony z niewolą, uciskiem, niewolniczą pracą i bałwochwalstwem. No tak, to była Święta Rodzina, tymczasem ci tutaj to potencjalni zamachowcy, mułomanie, puczyści, dywersanci. Nie wiadomo, co knują...

A skąd taka pewność, że tamta kobieta nie jest jedną z tysięcy przepędzonych, bitych, udręczonych ofiar, które ostatkiem sił uciekły ze spalonych domów, zostawiając za sobą groby najbliższych? Bo, może to Miriam naszego czasu, która z synem i mężem szuka schronienia w nowym Egipcie? Czy można spokojnie pójść do kościoła i pomodlić się za biednych, opuszczonych i głodujących, zapomniawszy o niej? Można pokochać się z religijnym zaśpiewem w świetle jupiterów, przed kamerami?

Ale – co ja mogę? Skoro ci, którzy mogą nieporównanie więcej ode mnie, milczą lub cichutko coś szepną a wydaje się im, że grzmia...? Gdzie są ci obrońcy życia... każdego życia? Do jakiego Kościoła należą, jakiego Nazarejczyka uznają za Pana ci, którzy uciekinierom odbierają godność, a może też prawo do życia. Jaką Ewangelię, w jakim tłumaczeniu czytają ci, którzy tamtych ludzi przedstawiają jako problem polityczny? Czy dokonują reasumpcji przykazań, np. „bliźniego jak siebie samego”, o ile legalnie przekroczył granicę”? To jest katolicyzm na naszą miarę?

Chlubimy się jeszcze słowem „solidarność”? Kiedyś była naszą dumą... Teraz staje się martwym słowem, gdy odwracamy się od potrzebujących, jeśli nie reagujemy na ich wołanie, jeśli kamienną twarzą patrzymy na łzy dzieci, jeżeli uznajemy, że przygraniczne błoto jest miejscem właściwym dla egzystencji człowieka?

A przecież nie tak znowu dawno temu Polacy stanowili jedną z największych grup emigrantów, gnieździli się w obozach dla uchodźców w Niemczech, Włoszech czy Austrii. Oczekując lepszego życia prosili o łaskę. Teraz tej łaski odmawiają innym...

Mamy czas szczególnego „sprawdzam”. Połowa popiera działania władzy i wypychanie migran-

tów. Wśród tych bezwzględnych dominują seniorzy, ścigają się z młodymi na niechęć, obojętność i strach przed obcymi.

Że coś takiego zdarzy się w kraju tak doświadczonym i dotkniętym cierpieniem...

Co się z nami stało, że odwozimy dzieci z powrotem do lasu? Bronimy życia od poczęcia do naturalnej śmierci... Czy śmierć z głodu i wychłodzenia jest naturalną?

Co bym zrobił, gdyby stali przed moim domem?

Będzie puste miejsce przy stole? Po co?

PRZYPISY

¹ Czesław Miłosz. *Campo di Fiori* (fragment wiersza).

² *Ludźkość, która zostaje*, „Tygodnik Powszechny” nr 18/2005.

³ Olga Tokarczuk, *Ćwiczenia z obcości*.

Marta TOK

Na słono. Opowiadanie wigilijne

Opowiadanie

Śledzie: do 10 łyżek majonezu dodajemy tłustą śmietanę, niech się po zamieszaniu utworzy ak-samitny sos. Dodajemy pieprz i sól, dwie cebule pokrojone w piórka, trzy średnie ogórki kiszone pokrojone w drobną kostkę. Sześć filetów śledziowych typu matias kroimy na niewielkie kawałki, a następnie układamy na przyrządzonym sosie. Potrawę dekorujemy świeżym koperkiem, ćwiartkami cytryny i posypujemy różowym pieprzem.

Krzysztof był już we Francji od paru miesięcy. Pierwsze trzy spędził na winobraniu, najpierw na południu, gdzie zbierali winogrona na liche Côtes du Rhône, potem, w październiku, pojechał z tą samą ekipą na winnicę pod Angoulême. Tam wstawali bardzo już zimnymi rankami, by zbierać białe, lekko spleśniałe grona na koniak. Mieszkali wszyscy razem w starych budynkach gospodarczych, ale on miał swój odrębny pokój o ścianach z nieotynkowanej cegły, z zakurzonym okienkiem i siennikiem na skrzypiącym żelaznym łóżku oraz dużym pod sufit kominkiem, takim, do którego można było wejść i się wyprostować. Widocznie Krzysztof przypadł do gustu gospodarzowi, panu Damoiseau, a może pomogła protekcja starej znajomej matki, lekarki z nieodległego miasteczka, która ich do Damoiseau skierowała. Tak czy owak, w chłodne wieczory po kolacji wspólnie jedzonej w dużej stodole przerobionej na połowę stołówkę, wszyscy spotykali się zazwyczaj w jego izbie, by ogrzać się przy kominku. Pan Damoiseau nie żałował im drewna na opał, którym były najczęściej pokręcone gałęzie wykarczowanych wczesną wiosną krzaków winogron. Szkoda, że gospodarz nie był tak szczodry w częstowaniu winem... Produkował je tylko „na własny użytek” i przechowywał w sporym kontenerze w szopie. Twierdził, że nie

miał go zbyt dużo, większość zbieranych winogron fermentowała w kadziach w piwnicy z przeznaczeniem na wyśmienity koniak, który – raz i tylko Krzysztofowi – pozwolił spróbować.

Wieczory spędzali gadając, śmiejąc się i grając na gitarach. Nie było źle, chociaż Krzysztof na ogół nie lubił przebywać w większym towarzystwie. No, ale skrzyknęli się w tę ekipę „na winobranie” w kilku znajomych ze studiów, bo tak było łatwiej. Krzysztof, jako jedyny, dogadywał się względnie dobrze po francusku, reszta ćwiczyła swój angielski z miernym skutkiem, bo tu, na prowincji, nikt właściwie nie mówił w żadnym języku obcym. Gospodarz znał tylko kilka słów hiszpańskich, ze względu na przybywających co roku sezonowych robotników z południa. Porozumiewali się głównie na migi, szukając w razie potrzeby wyrazów w słownikach.

A teraz był już grudzień. Znajomi dawno wrócili do kraju, a Krzysztof znalazł się w Paryżu. W pierwszym dniu po przyjeździe ukradziono mu w metrze większość zarobionych na winobraniu pieniędzy. Trzymał je nieopatrznie w plecaku, w kopercie. Zostało mu tylko to, co wziął na podróż w portfelu.

Był wściekły na siebie, ale postanowił się nie poddawać, bo co miał robić? Siąść i płakać? Już od jakiegoś czasu próbował wyrobić w sobie dystans do spraw, na które nie miał wpływu. No to teraz mógł poćwiczyć... Na szczęście, w dniu, w którym dotarł do studenckiego pośrednictwa pracy przy Port-Royal od razu go zatrudniono do roznoszenia ulotek. Przyjechał po niego niejaki Gerard i wraz z innymi, Irańczykiem, Algierczykiem i Polakiem z Poznania, Jackiem, wsadził do swojego volkswagena, a potem wywiózł na dalekie przedmieścia Paryża. Roznosili ulotki reklamowe w dzielnicach pełnych takich samych

domków z ogrodami, ulicami, które zdawały się nie mieć końca. Gdy po całodniowej pracy w końcu Gerard zebrał ich, wykończonych, do rozklekotanego busa, by rozwieźć do domów, okazało się, że Krzysztof nie ma noclegu. Dobra – powiedział po namyśle Gerard, – przenocuję cię te kilka dni, a za to trochę mniej zarobisz, *d'accord*? Krzysztof zgodził się i oto teraz siedział w pustym mieszkaniu w La Garenne-Colombes z widokiem na miejscowy ratusz. Nie było mebli, jedynie materac, kuchenka gazowa i garnek do wody. Prądu nie włączono. Arlette, dziewczyna Gerarda, konsjerżka w kamienicy, w której znajdowało się mieszkanie, wręczyła Krzysztofowi świece i zapalki, surowo upominając, by uważał. W jakimś sensie odpowiadała mu ta sytuacja. Był sam, z dala od domu i rodziny, w kompletnie innym świecie. Całkowicie zdany na siebie. Ahoj przygodo, w sumie. Przeliczył pieniądze – jakieś osiemdziesiąt franków. No to ok... Arlette pokazała mu sklepik po drugiej stronie placu. Kupił tam bagietkę i śmierzdzący camembert. Ser był wyśmienity, Krzysztof nie pamiętał, by cokolwiek ostatnio tak bardzo mu smakowało. Jedząc, patrzył przez okno na nielicznych przechodniów, na świątecznie oświetlone butiki i rozmyślał o tym, że powinien znaleźć gdzieś budkę telefoniczną i zadzwonić do mamy.

Kolejnych kilka dni było podobnych do siebie. Codziennie, koło piątej rano Gerard łomotał w drzwi, żeby go obudzić. Wyjeżdżali na dalekie przedmieścia z ulotkami, zazwyczaj w tym samym towarzystwie – wesoły Madjid, który uciekł z Iranu po obaleniu szacha, dowcipny Wahid i milczący, miły Jacek. Nie rozmawiali ze sobą zbyt wiele, tyle, co w drodze. Każdy starał się jak najszybciej obskoczyć swój rewir. Roznosili głównie reklamy przedświątecznych promocji. Potem zmęczeni wracali do Paryża, a Krzysztof z Gerardem – do La Garenne-Colombes.

Pewnego dnia Krzysztof poprosił Gerarda o wolne. Chciał przejść się po Paryżu, zajść do Instytutu Katolickiego, rozejrzeć się za jakimś mniej spartańskim lokum. No i zadzwonić do mamy. Odebrała niemal od razu. – Jezu, dziecko, jak dobrze, że dzwonisz... Nie była to długa rozmowa, nie miał za dużo monet, Gerard jeszcze mu nie zapłacił, a z jego ocalałych osiemdziesięciu franków nie zostało zbyt wiele. Trochę się Krzysztofowi zrobiło smutno, kiedy usłyszał mamę mó-

wiąć z westchnieniem o szykowaniu świąt. Nie powiedział jej o kradzieży, a swoje obecne zajęcie i Gerarda z Arlette, przedstawił w różowych barwach. Niech nie myśli, że jest tu taki samotny, bo będzie się zadręczać. Ale pozytywna wiadomość była taka, że koleżanka mamy, paryżanka, miała dla niego paczkę, którą udało się przesłać z Polski przez jakiegoś znajomego. Mama podała mu numer telefonu do Janiny i pożegnali się, obiecując sobie ponowną rozmowę w samą Wigilię, jak się uda.

Janina Laubbaum, przyjaciółka mamy ze studiów medycznych, po dwudziestu latach życia w Paryżu mówiła już z lekkim francuskim akcentem, co wydało się Krzysztofowi nieco dziwne. Zaprosiła go na niedzielny obiad do siebie, w trzynastej dzielnicy. Z La Garenne-Colombes jechał do niej ponad dwie godziny, najpierw podmiejskim pociągami, potem metrem. Wysiadł wcześniej i kilka przecznic szedł pieszo, by przejść się trochę ulicami.

Paryż. Wielkie miasto. Krzysztof lubił wolną przestrzeń i zieloną przyrodę, jak przystało na prawdziwego Włóczykija, którym się czuł. Jednak trudno mu było nie docenić urody tego niesamowitego miasta. Wielkie, dziewiętnastowieczne kamienice z piaskowca tworzyły bezkresne kaniony obramowane platanami. Z okazji świąt Bożego Narodzenia drzewa przybrano mnóstwem kolorowych światełek. Dziesiątki sklepów i luksusowych butików przy Avenue des Gobelins prześcigało się w bogatych dekoracjach. Od czerwonych, złotych i srebrnych kokard, bombek i błyszczących prezentowych paczek można było dostać zawrotu głowy. Najbardziej jednak Krzysztofowi przypadły do gustu witryny licznych piekarni i cukierni: wymyślne kremowe sękacze, ozdobione miniaturowymi cukrowymi muchomorami, wiewiórkami, ptaszkami, pyzatkami skrzatami. Czekoladowe domki świętego Mikołaja obok kawowych eklerek, barwnych ptifurek i owocowych tarteletek. Słodkie oszołomienie, od którego w Krzysztofie budził się drzemający w nim samotny chłopiec.

Janina, przemiała babka przed pięćdziesiątką, mieszkała w jednej z okazałych kamienic przy Rue le Brun. Bardzo ucieszyła się z wizyty. Czekala „z niecierpliwością”, by poznać „ukochanego syna przyjaciółki”. Zasiadli do kolacji. Przy wstępie, na który podała – wywołując w Marku

mieszane uczucia – świeże ostrygi, wypytała go o jego koleje losu. Popijając wino z kryształowego kieliszka okraszała wielokrotnie jego relację wykrzyknikami w rodzaju „*och, mon pauvre!*”, co pewnie miało wyrażać współczucie. Podając *coq au vin* na główne danie, opowiedziała mu po krótko swoje życie, szczególnie lata z „*cher Henry*”, do którego, jak się okazało, przy serach i sałacie, wyjeżdżała wkrótce na kilka miesięcy. Henry, znany francuski pediatra, na emeryturze wybrał życie z dala od paryskiego zgiełku, na bretońskiej wsi. A Janina mogła wreszcie teraz do niego dołączyć, gdyż wzięła dłuższy urlop. Przy kawie i deserze, na który składały się, ku radości Krzysztofa, kolorowe ptifurki, poprosiła go o wielką przysługę. „Czy mógłbyś, mój drogi, zamieszkać tu podczas naszej nieobecności? Bylibyśmy ci bardzo wdzięczni, gdybyś zechciał przypilnować apartament”.

Mieszkanie Laubaumów było w rzeczy samej apartamentem. Składało się z czterech sypialni, gabinetu pana domu oraz podwójnego, ogromnego salonu. Miało też kuchnię z wyjściem na służbowe schody i dwie łazienki, w tym jedną z wanną, w której, zaraz po tym, jak odwiedził Janinę na pociąg, z jej licznymi bagażami i pakunkami, Krzysztof pławił się przez cały wieczór.

Nadeszła Wigilia Świąt Bożego Narodzenia. Pierwszych, które miał spędzić na emigracji, z dala od mamy, siostry, licznych ciotek i kuzynów. Zupełnie sam, w obcym wielkim mieszkaniu, z widokiem na oświetlone kolorowymi lampkami platany. W sumie, był bardzo podekscytowany tym doświadczeniem. Za pieniądze otrzymane wreszcie po krótkich negocjacjach od Gerarda, kupił małą choinkę, a w sklepie polskim, o którym wspomniała mu Janina, śledzie z beczki i kapustę z grzybami. Sklepik znajdował

się na Marais, w dzielnicy żydowskiej, gdzie sprzedawane produkty – twaróg, ogórki kiszone, kapusta, czy makowiec – przybyszowi z Polski mogły wydawać się typowo rodzime, jednak w rzeczywistości były elementami kuchni żydowskiej, co bardzo Krzysztofa rozbawiło. Mimo skąpych zakupów, postanowił zrobić wszystko jak należy. Przygotował barszcz, trochę za cienki, bo z buraków już ugotowanych, innych nie dostał w paryskich sklepach, śledzie w śmietanie, z domowego przepisu, a przynajmniej, tak, jak go zapamiętał, podgrzał kapustę z grzybami. Na śliczny talerzyk z kredensu Laubaumów położył kawałek żydowskiego makowca. Zanim zjadł wigilijną kolację, przełamał otrzymany z domu opłatek. Jedną część położył pod choinką, dla rodziny.

Potem wreszcie odpakował prezenty z paczki od mamy. Wyjmował drobne upominki zawinięte w szary papier, przewiązane czerwoną wstążeczką i ozdobione małą gałązką świerku. Jakie to wszystko było przaśne w porównaniu z przepychem paryskich złotych dekoracji. Ale jakie bliższe. Poczł się dziwnie. Na koniec otworzył zapakowany niezgrabnie największy pakunek. Był to sweter, jego własny sweter, którego zapomniał zabrać, kiedy wyjeżdżał wczesną jesienią z domu. Zanurzył w nim twarz i poczuł nagle wszystkie zapachy domu w dalekiej Polsce. W jego sercu wezbrała ogromna, niepohamowana fala wzruszenia. I zapłakał. Zanosił się głębokim szlochem, a jego słone łzy spływały strumieniem na prezenty, choinkę, śledzie, makowiec, nawet na świąteczne światełka na platanach w tym obcym, wielkim mieście, tysiąc kilometrów od domu.

Adam LEWANDOWSKI

100 lat Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu

Warto przypomnieć

Związek Zawodowy Literatów Polskich powstał w Poznaniu – jako trzeci po Warszawie i Lwowie – 8 maja 1921 roku. Jego pierwszym prezesem został, mieszkający w Kołaczkowie koło Wrzeszyna, Władysław Stanisław Reymont, późniejszy laureat Nagrody Nobla. Przed rokiem 1939 do Związku Literatów należało wielu dziennikarzy i profesorów uniwersyteckich. Wśród tej społeczności byli tak wybitni pisarze, jak Józef Weyssenhoff, Arkady Fiedler, Emil Zegadłowicz, Zenon Kosidowski, Aleksander Janta-Połczyński, Jan Sztudynger, Artur Marya Swinarski. W roku 1934 zainicjowano Czwartki Literackie, goszczące najznakomitszych ludzi pióra z różnych stron kraju.

W marcu 1945 roku odbyło się pierwsze po okupacji hitlerowskiej zebranie Związku Literatów pod przewodnictwem Tadeusza Kraszewskiego. W maju widnieje na liście członków 20 nazwisk – wśród nich Jarosław Iwaszkiewicz, który został redaktorem naczelnym dwutygodnika „Życie Literackie”. Gdy w czerwcu 1946 roku Iwaszkiewicz został prezesem Zarządu Głównego i wyjechał do Warszawy, redaktorem naczelnym został wybrany na prezesa w Poznaniu – Wojciech Bąk. Wznowiono przyznawaną od roku 1927 Nagrodę Literacką Miasta Poznania.

W roku 1956, po krwawym Poznańskim Czerwcu, powstał ogólnopolski „Tygodnik Zachodni”, którego redakcję tworzyli młodzi pisarze Bogusław Kogut – redaktor naczelny, Przemysław Bystrzycki, Ryszard Danecki, Piotr Guzy, Stanisław Kamiński i Włodzimierz Odojewski. Wtedy też zaczęła publiczną działalność grupa literacka Wierzbak, założona przez Ryszarda Daneckiego i Mariana Grzeszczaka. Dysponując łamami „Tygodnika Zachodniego” oraz pisma studentów i młodej inteligencji „Wyboje”, odegrała w po-

wojennym życiu poetyckim kraju taką rolę, jaką w okresie międzywojennym grupa warszawska Skamander. Zapoczątkowano pierwsze ogólnopolskie zjazdy poetyckie – Poznańskie Listopady, które mają obecnie charakter międzynarodowy. Dokumentuje to antologia *Wiek Wierzbaka* wydana przez wydawnictwo Media-Rodzina z okazji półwiecza istnienia tej grupy. Organizowane od wielu lat w Poznaniu spotkania listopadowe poetów z całej Polski, Europy, a nawet świata, owocują głębokimi refleksjami i przemyśleniami na temat poezji. Dają możliwość wzajemnego poznawania się i przybliżania klimatów twórczych, panujących w różnych częściach kraju, Europie i poza nią. Jest to szerokie spektrum życia literackiego, w szczególności poezji, w obecnym świecie. Spotkania poetyckie, zwłaszcza z młodzieżą szkół średnich, choć nie tylko, dają niepowtarzalną okazję do poznawania twórców różnych narodowości oraz ich poezji.

Nadmienię, że również jestem członkiem Związku Literatów Polskich – Oddział w Poznaniu (www.zlp.poznan.pl). Jestem również Laureatem Literackiej Nagrody im. Klemensa Janickiego – (2013) oraz wyróżnień w konkursie na najlepszą książkę poetycką *Granice myślenia o... czyli wiersze pisane komórką* (2012), *Jeszcze*

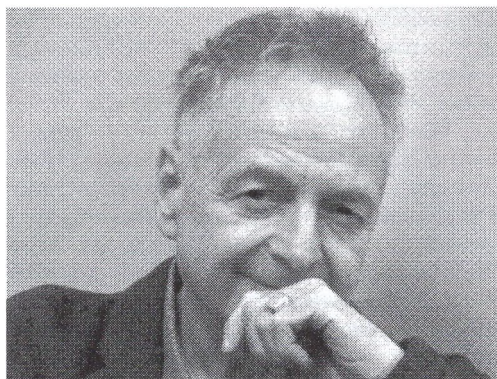


jestem w drodze... (2016), która to nagroda wręczana jest podczas inauguracji kolejnych Międzynarodowych Listopadów Poetyckich.

Corocznie, gmina Śrem wspólnie z Biblioteką Publiczną im. Heliodora Świącickiego są współorganizatorami tego prestiżowego wydarzenia. Również w bieżącym roku, 5 i 6 listopada będziemy gościć w Śremie 12 polskich i zagranicznych poetów, którzy będą gośćmi spotkań z miłośnikami literatury, a szczególnie poezji. Będzie można również wysłuchać wykładu dr Danuty Pływawko o Pauli Wężykównej – wybitnej, śremskiej poetce. Wykład poprzedzi wydanie monografii poetyckiej tejże poetki. Dla nas – poetów takie wyjazdy i spotkania zawsze są jakąś tajemnicą, niewiadomą. Z zaciekawieniem czekamy na spotkanie, zastanawiamy się kto przyjedzie, jak nas przyjmie, czy właściwie odbierze to co pragniemy przekazać.

W bieżącym roku będziemy gościć w Śremie Kazimierza Burnata, Leszka Dembka, Franciszka Habera, Martę Pelinko, Radovana Brenkusa, Rafała Różewicza, Andrzej Waltera, Gabrielę Szubstarską, Małgorzatę Góralską, Roberta Rudiaka oraz tegorocznych laureatów Nagrody 44. Listopada Poetyckiego i Nagrody w Konkursie im. Hłakowiczówny. To plejada dobrych, a nawet bardzo dobrych poetów, którzy wnoszą do polskiej poezji ogromne wartości. Możemy być dumni, goszcząc ich w naszym mieście.

W artykule wykorzystano treści zawarte we wspomnieniach ZLP Oddział w Poznaniu.



Fotografie obok: u góry: Zbigniew Gordziej, obecny prezes ZLP Poznań, u dołu: Władysław Stanisław Reymont, pierwszy prezes Związku

Marta WOJTYSIAK

Mój Rzym. Część 6

Kolejna misternie zaplanowana podróż... Plan służy mi jedynie jako ramy, w nich zawiera się brak oczekiwań, zaufanie, pełna otwartość, elastyczność i ciekawość.

Z poznańskiej Ławicy wyruszam do Rzymu. Lądujemy wieczorem. Jest już ciemno, samo oczekiwanie na autobus, który zawiezie nas do centrum jest dla mnie radością.

Podczas tego wyjazdu odwiedzam ludzi i miejsca, które są mi bliskie. Przemierzam malownicze uliczki nieopodal Piazza Navona, obserwuję rodzinę, która siedząc na fontannie na Piazza della Rotonda w skupieniu szkicuje Panteon. Podziwiam wszechobecne kolejki – Rzym się ożywił, przybyło turystów. Wędruję niespiesznie, uważnie, radośnie.

Drugiego dnia postanawiam odwiedzić przewijającą się często w opowiadaniach Edyty Villę Torlonia. Jak każde inne miejsce zwane Villą i to jest dużym parkiem z pałacem, galeriami, willą w tym wypadku wywodzącej się z Francji rodziny Torlonia. Na tym terenie znajduje się kilka znaczących obiektów. Casino Nobile główna rezydencja rodziny. Dom Księżąt – budynek z którego korzystano podczas wystawnych imprez towarzyskich, łączący się tunelem z Casino Nobile. Przepiękny teatr. Pomarańczarnia, służąca do przechowywania zimą drzewek cytrusowych i sadzonek kwiatów. Dzisiaj znajduje się tu bar i restauracja. Jest tu jeszcze kilka innych ciekawych budowli, niespodzianek botanicznych i niesamowitych historii. W latach 1925–1943 Casino Nobile było rezydencją Benito Mussoliniego i jego rodziny. Ówczesny właściciel majątku Giovannni Torlonia junior, wielki wyznawca faszyzmu, udostępnił willę Duce za symbolicznego 1 lira miesięcznie. W 1918 r. na terenie parku odkryto katakumby hebrajskie z II w n.e.

W tym całym wachlarzu piękna moim marzeniem jest zobaczenie Casina delle Civette czyli Sowiej Willi. Dzień jest cudownie upalny, po wejściu do parku cichnie zgłęb miasta, słyszę cykady i chrzęst rozgrzanych białych kamyków pod moimi stopami. Kroki swoje kieruję do Pomarańczarni, gdzie w cieniu, popijając chłodny napój i jedząc ciasteczka z Campo de Fiori łapię oddech i zwalniam.

Villa Torlonia to miejsce, w którym częściej spotkamy miejscowych niż turystów. Dzieci mają zajęcia sportowe, ktoś czyta gazetę, jakaś para trwa w objęciach na ławeczce pod drzewem...

W Casino Nobile kupuję bilet i ruszam. Pierwszym poruszeniem jest dla mnie to iż Sowia Willa znajduje się przy alei Tiziano Terzani, którego książki i osoba mają dla mnie ogromną wartość. Kiedy zaczyna wyłaniać się budynek nie mogę uwierzyć własnym oczom. To pałacyk z wieloma wieżyczkami, schodami, fontannami i przeróżnymi okienkami, w których mieszczą się witraże dodające mu kolorowego wręcz bajkowego wyglądu. Z boku znajdują się drzwi, nad którymi widnieje napis „SAPIENZA E SOLITUDINE” czyli w „Mądrości i Samotności”. Giovanni Torlonia jr. chciał tu żyć istic po swojemu. Był wielkim mizantropem i miłośnikiem ezoteryzmu. W willi znajdziemy powtarzające się symbole, w tym sowy – ptaka, który widzi w ciemności.

Podczas zwiedzania jestem sama, snuję się po małych pokoikach z pięknymi meblami, freskami i witrażami. Popołudniowe słońce tańczy w tych wszechobecnym kolorowych szkiełkach ułożonych we wzory ptaków i kwiatów. Czuję się jak w bajce. Próbuję sobie wyobrazić cudowne życie tutaj. Tyle mieć wokół możliwości do zachwyty. Każda pora roku i dnia w inny sposób budzi dom, jakby ciągle tańczył, jakby naprawdę żył.



Fot. Łukasz Pietrzak

Całej tej wizycie wtóruje plusk ogrodowej fontanny. Wychodzę bardzo poruszona. Wolnym krokiem przemierzam park aby powoli wrócić do miejskiego świata. Jestem w spokojnej dzielnicy Tiburtina. Nie ma tu turystów. Wśród kawiarenek, piekarni, sklepików i budynków mieszkalnych toczy się rzymskie życie. Mogłabym tu mieszkać.

Czas mija niespiesznie, pozwala mi cieszyć się Wiecznym Miastem niemalże na zapas. Przy tym co chwilę zaskakując miejscami, spotkanymi ludźmi, jakąś sytuacją. Sprawia, że wyjazd nabiera niepowtarzalnej mocy i jak każdy kolejny różni się od poprzednich.

Spotkany na Ponte Sisto muzyk Alessandro Scintu, z pobliskiego miasteczka Calcata, wyraża siebie niezwykłą muzyką. Otoczony mnogością instrumentów łączy je w niezwykle dźwięki, które dopełnia swoim głosem! Ach! Mówi, że eksperymentuje. Jego występ skupia wokół wielu przechodniów. Jesteśmy oczarowani.

W pobliskiej uliczce Francesco Borini w swoim sklepie sprzedaje buty, które sam stworzył od podstaw, od rysunku na papierze! Jest artystą, kocha swoją pracę. Z precyzją przymierza buty klientkom, w niezwykle sposób układając je na stopie i przyglądając się badawczo. Pokazuje mi zaplecze pełne butów i ubolewa nad tym, że chińskie obuwie zalewa także Włochy i jego praca jest coraz mniej doceniana. Dla mnie jego butik to obowiązkowy punkt podczas każdej wizyty w Rzymie. Buty tutaj są niczym dzieła sztuki. Francesco pokazuje mi prototypy kolekcji wiosna-lato 2022. Są pozszywane ręcznie, pokreślone ołówkiem, cudne!

Na Zatybrzu odkrywam bar z trapizzino. Jest to ciasto podobne do pizzy, tyle że w kształcie trójkąta, do którego wkłada się co dusza zapagnie. Mój wypełniony jest sosem ze świeżych pomidorów i miecznikiem. To idealny pomysł na lunch lub lekką kolację. Posilona wspinam się na Janikulum, jedno z rzymskich wzgórz. Przy fontannie Acqua Paola zachwyam się widokiem na

miasto. Kierując się ku Watykanowi, mijam pomnik Garibaldiego, dalej jego żony Anity z dzieckiem u piersi i wsunięty głębiej malutki pomnik chłopca Rugetto ze swoim pieskiem – zginęli razem podczas zbierania niewypałów dla armii Garibaldiego. Spaceruję w ciszy. Chłodzi mnie delikatny wiatr. Jest bardzo spokojnie.

Podczas tego wyjazdu z Rzymu lecę na Sycylię, do Palermo, miasta na tej wyspie mi najbliższego. Jest to już moja... nastą podróż w to miejsce, mam ochotę na bardziej wakacyjny klimat, inną scenę, nowe odkrycia i plażę. Rzym i Palermo to dla mnie dwa diamenty, tyle że Rzym jest tym bardziej oszlifowanym, Palermo zaś dzikim jeszcze i nieprzewidywalnym.

Cudem tej wyspy i tego miasta jest to, że wieki najazdów i podbojów zostawiły tu swoje ślady, a każdy kolejny najeźdźca przywiózł coś swojego, nie niszcząc bogactw poprzednika. Przełożyło się to na niesamowitą kuchnię, niezwykłą architekturę, kulturę i uosobienie mieszkańców. Sycylijczyk nigdy nie określi się mianem Włocha, jest bardzo dumny ze swojego pochodzenia.

Tym razem śpię w nowym miejscu, MOJOCOHUSE, niesamowicie przyjaznym, kręcą się tu nawet psy i koty. A tuż za rogiem nieopodal Piazza Bellini mieści się moja ulubiona kawiarenka. Zwiedzam pałace, szukam perełek na targu staroci, delektuję się jedzeniem ulicznym, zachwyam caponată – duszonymi warzywami, których podstawą jest tu bakłażan (po tej podróży robię już perfekcyjną u siebie w domu). Kupuję obrazy u artystów ulicznych, zatracam się w smakach, dźwiękach i kolorach Ballarò - targu warzywno-rybnego. Kolacje jadam we wspaniałej restauracji La Galleria, specjalizującej się w kuchni regionalnej lub w pizzerii Frida u mojego kolegi Antonio. Na śniadania chadzam na targ, gdzie można kupić kanapki lub na Piazza Marina na pyszną bułę ze smażonym bakłażanem.

Na plaży, w pięknym Mondello długo siedzę na słońcu ze stopami zakopanymi w gorącym piasku, pływam w lazurowej wodzie starając się nie stracić nic z tych pięknych, ulotnych momentów. Pewnego wieczoru trafiam na sztukę teatralną o patronce Palermo – św. Rozalii – z użyciem bardzo popularnych tutaj marionetek. Wszystko to odbywa się przy Katedrze, na dziedzińcu.

W Palermo urzeka mnie klimat starych, pięknych

niegdyś kamienic. Radość życia mieszkańców, którzy są pomocni, przyjacielscy i bardzo otwarci, sprawia wrażenie jakby na wszystko mieli czas. Nie widać tu pędu i strachu o jutro. Może pęd i wieczny pośpiech kreujemy sobie sami?

Mój bagaż wzbogacam o prażone migdały, moje ukochane orzeszki ziemne w miodzie i sezamie, przyprawy, kapary, orzeszki pinii, pistacje, dojrzałe bakłażany i sól morską z pobliskich salin. Na prośbę Edyty wiozę do Rzymu cannoli, ciastka sycylijskie wypełnione ricottą. Jej mąż stąd pochodzi i mawia, że nigdzie nie smakują tak jak tutaj.

Oprócz bagażu tradycyjnego wiozę moc wrażeń, słońca, nowych smaków i znajomości a także planów... W przygotowaniu mam odwiedzinę majestatycznej Etny.

Po powrocie z Sycylii w Rzymie spędzam jeszcze dwa dni. Czuję jak wypełniło się we mnie wszystko to, co na ten czas potrzebowało ducha świata, ducha podróży. Moje postrzeganie świata jest jakby szersze, swobodniejsze. Kiedy w malutkiej restauracji w Suburra napotykam aktora Billa Nighy, wyobrażam sobie jak ruszamy do tańca w tej wąskiej uliczce przy piosence Miny, Ancora, po czym wracamy do swoich zajęć. Myśl ta zaskakuje mnie i bawi.

Ta podróż jest zapowiedzią kolejnej. To łańcuch, który nie chce się przerwać, jakby wiedział, że ma trwać, nęcić mnie, wabić i prowadzić...

Parę dni temu natknęłam się na informację o wystawie zdjęć Sebastião Salgado w Muzeum Maxxi w Rzymie, do której muzykę specjalnie stworzył Jean Michel Jarre. W dodatku odbywa się to w dzielnicy Eur, której jeszcze nie znam. To wystarczający powód by kupić bilet. I można tak bez końca.

Czuje się „dzieckiem świata”. Wiem, że podróżę to nieodłączną część mojego życia.

Czasem śmieję się, że 40 lat temu moja dusza zbłądziła w okolice Śremu. Ale czy mieszkając od urodzenia w ukochanych Włoszech, miałyby one dla mnie tak wielką wartość? Tego nie wiem. Czy zawsze trzeba musieć coś utracić by zyskać nowe? Który krok życiowy jest tym decydującym? A może każdy świadomy krok jest zmianą bo to droga jest celem...?

Na razie, jak mawiał Leonardo, jestem pilnym uczniem własnych doświadczeń. I zobaczę dokąd mnie one zaprowadzą.

Danuta KSIĄŻKIEWICZ-BARTKOWIAK

Łyk po łyku, kulturalnie

Nie treść ani forma, ale tworzywo jest osnową i ogniwem łączącym dzieła artystów pokazane na kameralnej wystawie współczesnej sztuki polskiej w Muzeum Śremskim. Tym tworzywem jest papier, który wszystko przyjmie – i chwala mu za to. Trudno powiedzieć, czy śremska wystawa jest reprezentatywna dla sztuki polskiej po 1945 roku i wydaje się, że jej twórcy wcale nie mieli takich zamiarów ani ambicji. Pokazali na niej prawie 70 dzieł na papierze, kartonie i tekturze, fotografii,

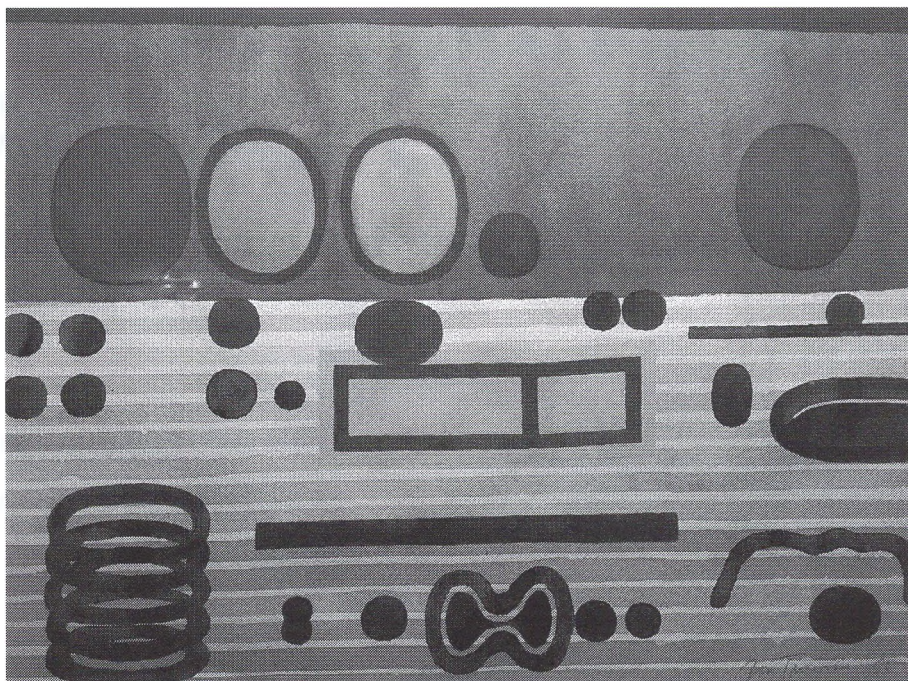
Alicja Biata, Polska



okładek książek, papierowych wycinanek i kolaży. To prace artystów reprezentujących różne szkoły, style, techniki, a przede wszystkim różne pokolenia, których łączy jedno – ich działalność wybrzmiewała, dojrzewała lub dopiero się zaczynała po II wojnie światowej. Niektórzy tworzyli jeszcze w latach międzywojennych, jak Piotr Potworowski, inni rozpoczynali swe artystyczne kariery w pierwszych powojennych dziesięcioleciach, a dzisiaj są zaliczani do czołówki polskich artystów współczesnych, jak Fangor, Opałka czy Abakanowicz, pozostali to młodsze pokolenie twórców, często rozpoczynające artystyczną karierę po 1989 roku, którzy albo już pretendują do tego elitarnego grona, jak Wilhelm Sasnal, lub są na dobrej drodze, aby do niego wejść.

Papierowy świat śremskiej wystawy jest niekiedy zaskakujący, bo pokazuje uznanych artystów z mniej znanej i nieoczywistej strony. Malowana tuszem i gwaszem *Ryba* Magdaleny Abakanowicz z 2008 roku odbiega formą od monumentalnych, barwnych gwaszy z początków działalności twórczej artystki i późniejszych, równie monumentalnych dzieł tworzonych w tkaninie i brązie, choć tematem już może nie tak bardzo, bo fantastycznych stworzeń w jej pierwszych pracach było wiele. Podobnie dwa niepozorne rysunki ołówkiem i tuszem z wczesnego etapu twórczości Romana Opałki, znanego na świecie przede wszystkim ze swych czasowo-cyfrowych peregrynacji manifestowanych słynnym cyklem *Detali* (i chyba najdroższego obecnie polskiego artysty), nie zapowiadają późniejszych dokonań, chociaż już ukazują jego niebywały talent i wszechstronność.

Scenariusz muzealnej ekspozycji zamierzenie lub całkiem nieoczekiwane buduje pewnego ro-

Jan Tarasin, *Przedmioty*

dzaju napięcie. Gdzieś między kolejnym portretem i abstrakcją, prócz uroków zwyczajowej kontemplacji dzieła sztuki, zaczyna pojawiać się niepokój i obawa, czy wystarczy wiedzy i doświadczenia, by właściwie odczytać coraz bardziej zaangażowaną twórczość najmłodszego pokolenia polskich twórców, stosowane przez nich symbole, parable i twórcze omówienia niekiedy połączone z wyjątkowo zindywidualizowaną estetyką, często celową brzydotą. Trzeba nieźle orientować się w otaczającej rzeczywistości, żeby trafnie interpretować intencje artystów, bo sama wrażliwość estetyczna we współczesnej sztuce przestała wystarczać. To narastające napięcie znaczeniowo-estetyczne rozgrywające się w kameralnej przestrzeni jest ważnym elementem śremskiej wystawy.

Ale jest też swoista klamra łącząca, zdawałoby się, coraz bardziej odległe twórcze światy. Najstarszy tutaj eksponat (bo trudno nazwać go dziełem) to napisany długopisem na poślódkach, kratkowanych kartkach papieru manifest Henryka Stażewskiego *Deformacja w Plastyce*. Został spisany w 1948 roku. Stażewski pisze w nim

o niejkiej konsternacji widza w kontakcie ze zdeformowaną rzeczywistością w sztuce, jako przykład przywołując dzieła El Greca czy Cézanna, których odbiorcy podejrzewali obu artystów o wadę wzroku, czyli po prostu zezą. W sztuce współczesnej powodów owej deformacji doszukuje się w twórczej ekspresji. Ta zdeformowana rzeczywistość 70 lat później podzieliła widzów doskonałej, surrealistycznej animacji Mariusza Wilczyńskiego *Zabij to i wyjedź z tego miasta*. Na śremskiej wystawie na jednej z większych płacht papieru pyszni się dziwny *Kot* z brzuchem wypełnionym silikonem, wykonany tuszem i akrylem przez Wilczyńskiego fragment animacji do tego filmu.

Pierwsza prezentacja sztuki polskiej po 1945 roku miała miejsce w Muzeum Śremskim w 2009 roku. Pokazano na niej kilkadziesiąt obrazów, rzeźb, grafik i fotografii. Kuratorzy tamtej wystawy zastanawiali się, jak za 20 lat będzie wyglądała czołówka polskich artystów. Minęło dopiero 12 lat, być może jednak druga śremska odsłona pozwoli jakiś zarys tej czołówki dostrzec.

KWESTIONARIUSZ KULTURY



Fot. Złoty Liść Studio Fotografii Plastycznej

JOANNA CHMIELEWSKA

Rocznik 1978. Śremianka z krwi i kości. Absolwentka Wielkopolskiej Szkoły Radia, Telewizji i Filmu w Poznaniu. Od przeszło dziesięciu lat mieszka i pracuje w Hiszpanii, w Barcelonie. Fotografka, wielbicielka kina, poszukiwaczka i kolekcjonerka rzeczy niepotrzebnych – ale pięknych, pasjonatka muzyki. Od 2012 roku współpracowała z „Gazetą Śremską”. W kolejnych numerach polecała filmy warte obejrzenia w rubryce Kino niewidzialne. Zwróciła naszą uwagę na 60 filmów, mniej lub bardziej znanych, wartych jej zdaniem obejrzenia. W tym numerze ukazuje się jej ostatni tekst. Dziękujemy!

1
Kim jestem...
Marzycielem.

2
**Co jest najważniejszym osiągnięciem
mojego życia...**
Mam nadzieję, że jeszcze przede mną.

3
W czym jestem dobra...
Mam szalenie dobrą pamięć.

4
Co jeszcze chcę osiągnąć...
Spokój umysłu.

5
Co chcę w sobie zmienić...
Chciałabym móc nie przejmować się tym, na co nie mam żadnego wpływu.

6
Co daje mi szczęście...
Proste rzeczy... słońce, natura, podróże, czas spędzany z ludźmi których kocham, muzyka i dobry film.

7
Najważniejszy dzień w moim życiu...
Było kilka dni ważnych w moim życiu, ale żeby nazwać jeden z nich tym najważniejszym się jeszcze nie odważę...

8
U przyjaciół najbardziej cenię...
Wyrozumiałość.

9
Bohaterstwo to dla mnie...
Iść pod prąd w dobrej sprawie i kurczowo trzymać się swoich przekonań.

10
Epoka, w której chciałabym żyć...
Paryż – lata 20. XX wieku, albo w latach 80. w Nowym Jorku.

Największym nieszczęściem byłoby dla mnie...

Utrata przyjaciół i bliskich.

Najcenniejsza rzecz, jaką posiadam...

Długoletnią przyjaźń.

Moja największa wada...

Czarnowidztwo.

Główna cecha charakteru...

Rzetelność.

Moje motto życiowe...

Nie posiadam takowego.

Ulubiony dźwięk...

Dźwięk cykad w lecie.

Dźwięk, który mnie denerwuje...

Wszelkich wiertarek itp. właśnie wtedy kiedy postanowiłam odpocząć.

Nie mogłabym żyć bez...

Muzyki.

Co wzbudza we mnie lęk...

Szybka jazda samochodem.

Moje ukryte marzenie...

Jest ich naprawdę wiele... Na przykład grać na jakimś instrumencie.

Dar natury, który chciałabym posiadać...

Nie wiem czy to dar natury akurat, ale chciałabym móc hibernować się na zimę.

Zawsze śmiesz mnie...

Skecze Monty Pythona.

Słowo, którego nadużywam...

Zależy w jakim języku?

Zdanie o mnie, które zapamiętałam...

Och, nie zapadło mi nic w pamięci.

Myśl, która pojawia się, gdy nie jest najlepiej...

Spokojnie, to minie.

Osobie bliskiej nigdy nie wybaczę...

Osobie bliskiej prędzej czy później zawsze wybaczę.

Wolność to dla mnie...

Niezależność od niczego i nikogo.

Kim chciałabym być, gdybym nie była tym, kim jestem...

Kotem.

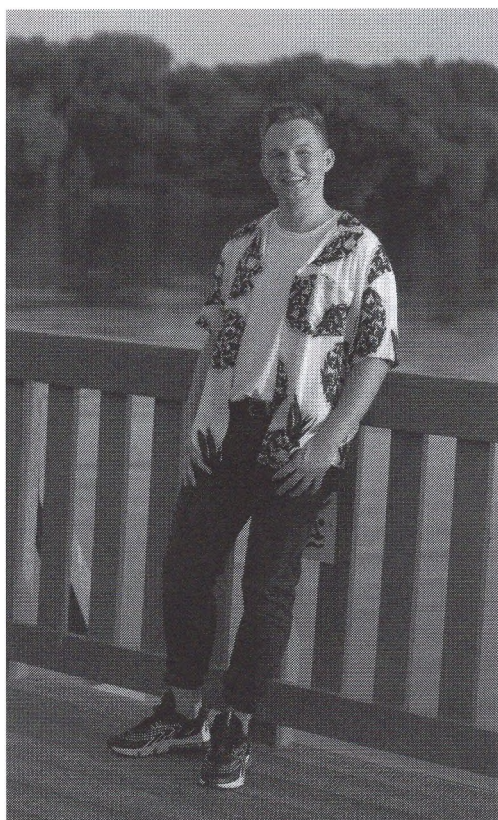
Obecny stan mojego umysłu...

Jesienny.

Kim chcę zostać w pamięci innych...

Po prostu dobrym i interesującym człowiekiem.

NASZTALENT : Krzysztof Przyjemski



KRZYSZTOF PRZYJEMSKI

Rocznik 1997. Mieszka i pracuje w Śremie. W tym roku obronił pracę dyplomową i został magistrem dziennikarstwa i komunikacji społecznej. Od 4 lat pracuje w Śremskim Ośrodku Kultury, gdzie zajmuje się organizacją wydarzeń artystycznych. Poza tym jest wokalistą, tworzy własne piosenki i przygotowuje się do wydania autorskiej płyty.

W październiku, w kolejnym odcinku programu „Szansa na Sukces”, mogliśmy zobaczyć występ tego młodego śremskiego wokalisty. To było spełnienie jego marzeń z dzieciństwa, nagroda za wytrwałość i ciężką pracę. Ten rok, tak trudny dla większości z nas, dla niego okazał się przełomowy. Skończył studia i obronił pracę magisterską. Zaczął uczyć się gry na pianinie. Bierze lekcje śpiewu. Wziął udział w paru castingach do programów muzycznych. Ten do „Szansy na sukces” zakończył się sukcesem i Krzysiek wystąpił w programie. Zaśpiewał utwór *Cheri, Cheri Lady* z repertuaru zespołu Modern Talking i choć nie został zwycięzcą, to jest bardzo zadowolony. Występ w show dodał mu pewności siebie. Potwierdził, że należy próbować, warto mieć marzenia i trzeba je spełniać.

Od kiedy skończył 18 lat, brał udział w castingach do różnych programów muzycznych. The Voice of Poland, Must be the music, Idol, Szansa na sukces, Mam talent – to do tych programów próbował się dostać. Nie zawsze się udawało. „Postanowiłem co roku brać udział w castingach, chciałem się sprawdzać – kroczyć drogą artystyczną. Wyruszyłem w muzyczną podróż... w nieznane. Te występy wiele mnie nauczyły. Teraz, po tych 7 latach, inaczej do nich podchodzę, mniej emocjonalnie”.

Marzy o własnej płycie. Materiał ma zebrany. Wszystko ma przemyślane. Wie, jak ma wyglądać i co na niej ma się znaleźć. „To będzie ciepła, nastrojowa muzyka, nagrana akustycznie”. Teraz pozostaje jedynie znalezienie muzyków, a nie jest to łatwe. Piosenki, które trzymał do tej pory w szufladzie, są nadal dla niego ważne, jest związany z nimi emocjonalnie. „To jest super pamiątka z przeszłości... pokazują podróż, którą przeszedłem – moją drogę do siebie”.



Fotografie z arch. K. Przyjemskiego

Komponować i pisać teksty zaczął pod koniec gimnazjum. Prowadzi też muzyczny kanał na YouTube, gdzie prezentuje swoje kompozycje. To wtedy przeszedł poważny sprawdzian odporności, pierwsze zderzenie z krytyką. Ale przetrwał i wyszedł z tego silniejszy.

Inspiracje... „Inspiracją jest dla mnie Lady Gaga. Wspaniała artystka, wielka osobowość. Była też tematem mojej pracy licencjackiej na temat wizerunku artysty. Cenię ją właśnie za sceniczną kreację, wizerunek, przemyślane i zaplanowane działania. Świetny wokalistę... Duże zaangażowanie społeczne.. Działanie na wielu polach”.

A czego słucha nasz młody wokalista? „Słucham Kwiatu Jabłoni, Sanah, Natalii Przybysz, lubię też Edytę Bartosiewicz – bardzo cenię jej teksty. Czasem wracam do Bajmu i Beaty Kozidrak”.

Latem tego roku, w ŚOK-u zaprezentował się na koncercie na żywo – to był jego pierwszy taki koncert. „To było wspaniałe wydarzenie, które wiele mnie nauczyło i dzięki któremu zdobyłem kolejne cenne doświadczenia. Wiem, co powinienem jeszcze doszlifować i na co zwrócić uwagę. Nabrałem dystansu do siebie i do swoich oczekiwań – a nie zawsze tak było.

To, czego dowiedziałem się na studiach, pomaga mi zaplanować «karierę». Wiem, dla kogo chcę śpiewać i co. Chcę sam o tym decydować, a nie być produktem stworzonym przez wytwórnię.

Wiem, czego chcę, wiem też, że mogą pojawić się przeszkody, że coś może pójść nie tak, jak sobie zaplanuję. Ale chcę spróbować i wierzę, że się uda”.

Prowadzi muzyczne zajęcia dla dzieci i seniorów. Śpiewa z nimi, gra na gitarze i ukulele. Jest też pomysłodawcą i głównym koordynatorem koncertu Śremscy Artyści Przeciw Nienawiści, jak również zwycięzcą w plebiscycie Osobowość Roku 2019 w kategorii „Kultura” w powiecie śremskim. Bardzo ważni są dla niego przyjaciele. Zawsze ma dla nich czas, oni zaś są dla niego wsparciem i siłą napędową.

Jest na początku drogi, wiele jeszcze przed nim, ale jest gotowy na tę podróż. Wie, że nie będzie łatwo, ale chce spróbować i wierzy że się uda.

Jestem... w 100% sobą.

Chciałbym... dzielić się swoją twórczością ze światem.

Myślę o... tym co tu i teraz.

Inspiruje mnie... sztuka, muzyka, kultura.

Potrafię... dążyć do celu, aby spełniać swoje marzenia.

Lubię... przebywać wśród ludzi.

Muszę... mogę, chcę i już nic nie muszę...

Żałuję... nie żałuję. Nic nie dzieje się bez przyczyny.

Boję się... już się nie boję.

Joanna CHMIELEWSKA

Zabij to i wyjedź z tego miasta

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...

mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych, a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

Hop, hop czy jest jeszcze ktoś, kto nie słyszał o tym filmie? Jeśli tak, to proszę niezwłocznie zapoznać się z poniższym tekstem, bo to bardzo ważny tytuł.

Zabij to i wyjedź z tego miasta – jak powiedział sam reżyser to film, który jest rozliczeniem się z łzawymi sentymentami, ale przede wszystkim jest jego pożegnaniem z rodzicami, z przyjacielem – Tadeuszem Nalepą i rozliczeniem zaniedbań, które wobec nich autor poczynił. Niech was jednak proszę nie zwiedzie ten ekliwy opis...

Mariusz Wilczyński to samouk, Janko Muzykant, jak lubi sam o sobie mówić. Od ponad 20 lat realizuje autorskie kino animowane. Miał retrospektywy filmów m.in. w MoMA w Nowym Jorku, National Museum of Brasilia, Tokyo International Forum i Muzeum Narodowym w Warszawie. W 2007 r. New York Times uznał go „jednym z najważniejszych współczesnych twórców animacji artystycznej”. Jego pierwszy pełnometrażowy film *Zabij to i wyjedź z tego miasta* zdobył wiele nagród i wyróżnień renomowanych festiwali filmowych. I nie ma się czemu dziwić bowiem *Zabij to...* to jeden z najoryginalniejszych polskich filmów ostatnich lat, a sam artysta poświęcił 14 lat życia na realizację tego niesamowitego, osobistego projektu.

Z początku miało być krótko – animacja, około trzydziestu minut. Film miał być też niemy, tak wspomina Wilczyński. Szybko okazało się jednak, że trzeba będzie dołożyć głos. Jednym z pierwszych, które zostały nagrane, był głos Ireny Kwiatkowskiej. Dla dziewięćdziesięcioośmioletniej wtedy aktorki był to jeden z ostatnich projektów. W filmie usłyszeć można więcej głosów osób, które odeszły już do wieczności: Andrzeja Wajdy, Gustawa Holoubka, Tomasza Stanko, czy zmarłego niedawno Krzysztofa Kowalewskiego.

Każda z tych osób zostawiła w tym filmie część siebie.

W filmie animowanym postaciom głosu użyczyli wszyscy ważni dla reżysera ludzie kultury, a przede wszystkim ci którzy wywarli na niego wpływ. Usłyszymy zatem oprócz wspomnianych „już nieobecnych” głosy wspaniałych aktorów takich jak Andrzej Chyra, Krystyna Janda, Anna Dymna, Daniel Olbrychski, Małgorzata Kożuchowska, Marek Kondrat czy Maja Ostaszewska. Reżyser w swojej animacji zabiera widza do labiryntu własnych wspomnień, do młodości i dzieciństwa, jest to świat pomieszany, poplątany i zdecydowanie rządzący się logiką snu. Animacja skupia się bardziej na emocjach i motywach niż na ciągłości fabuły. Wyrywki scen z życia przypominają przegląd wspomnień odtwarzanych z dawno zakurzonej w głowie szuflady. Pamięć o bliskich, o rodzinnym mieście, owinięta w szorstką i lepką fakturę przeszłości. Brudne, szare kamienice Łodzi, dymiące kominy, tramwaj nierówno sunący po torach, kiosk Ruchu na rogu, kawiarnia Jubileuszowa. W tym animowanym mieście Wilczyński jest w stanie zrobić to, czego nie był w stanie uczynić wcześniej: pożegnać swoich bliskich, przekazać im swoje ostatnie słowo.

Autorska kreska bardzo surowa zresztą, przedstawia świat bez upiększeń. Naturalistyczne i surrealistyczne sceny uderzają bez pardonowo w struny emocji, o których może nie chcielibyśmy pamiętać. Przemijanie jest tu szczególnie mocnym motywem, tym mocniejszym, jeżeli odnosimy go do własnej, osobistej straty.

Obraz przesiąknięty nostalgią, mimo, że nasączony PRL-owskim wspomnieniem i osobistym sznytem jest mimo tego obrazem uniwersalnym. Z psychodelicznych rysunków każdy odnajdzie



ścieżkę własnych emocji i uczuć, Nie sądzę, by istniał widz, którego ta animacja, ten film nie dotknęły wielokrotnie w niezrośniętą do końca bliznę, poczucia winy, w szew bolącego wspomnienia, czy ukryty pod maską smutek za tymi, których nie doceniało się, kiedy jeszcze byli.

Dialogi są tu do tego tak błyskotliwe i uderzające w najczulsze punkty widza, że sprawiają, że film na długo pozostanie w głowie. Ten film nie ma linii czasowej, nie ma określonego „jesteśmy tu i teraz”. Wszystko miesza się ze wszystkim, zwierzęta zamieniają się rolami z ludźmi, albo odwrotnie. Jest też m.in. kot Behemot z *Mistrza i Małgorzaty*. Ale to zdecydowanie przemyślany miszmasz, a tym co spaja to wszystko w całość jest tutaj muzyka – improwizowany blues Tadeusza Nalepy.

Nie jest to łatwy film. Forma nie będzie przystępna dla każdego. Ale ładunek emocji, jaki zawiera, i emocje, które wzbudza, to jest coś czego bardzo dawno nie doświadczyłam na seansie polskiego filmu. To film, który bardziej się czuje niż ogarnia umysłem. Owszem może widza solidnie przytłoczyć, ale mimo wszystko uważam, że warto się z nim zmierzyć!



Jolanta ANDRZEJEWSKA

Lament

Z górnej półki

Opowiadanie *Bezmatek* Miry Marcinów jest kolejnym w naszej literaturze lamentem po stracie matki. Przy czym, jeśli Marcin Wicha, laureat nagrody Nike z 2018 roku, za pomocą przedmiotów po zmarłych rodzicach dokonuje swoistej, dowcipnej i zdystansowanej wiwisekcji ich życia (o jego książce *Rzeczy, których nie wyrzuciłem*, pisałam dwa lata temu), tak Mira Marcinów w swoim „lamencie” skupia się głównie na sobie i swoich uczuciach. Ciekawość czytelniczki, powodowanej, co tu ukrywać, niezdrowym trochę pragnieniem podglądania relacji matki z córką, nie zostaje do końca zaspokojona. Jednak ostatecznie otrzymujemy jakiś – dość niejasny, lekko zamazany jak dzieło Moneta – obraz bohaterki.

Matka autorki mówiła ze wschodnim akcentem. Malowała się starannie i nosiła świetnie wyprasowane ołówkowe spódniczki. Była bardzo ładna. Miała w życiu kilku partnerów, z których jeden był ojcem Miry. Jako młoda kobieta bezustannie przyciągała spojrzenia i komentarze. Zwłaszcza, gdy występowała w jednoczesnym kostiumie kąpielowym nad jeziorem. Nośła szpilki nawet dźwigając plastikowe siatki z Biedronki. Paliła jak smok: carmeny, klubowe, nawet ekstra mocne bez filtra, kiedy nie starczało na inne, bardziej „cywilizowane” papierosy. Malowała obrazy. Cieszyły ją kiczowate przedmioty, które nadawały wnętrzu bardziej „osobisty” wygląd (inaczej mieszkanie stałoby się puste, jak na zdjęciu w „Czterech kątach”, mówiła). Czytała niewiele, ale uwielbiała *Sto lat samotności* Marqueza. Kiedy nie znała odpowiedzi na pytanie docieklivej córeczki, co zdarzało się ponoć rzadko, radziła jej szukać w opasłych tomach encyklopedii. Nauczyć tego – mawiała, nie zawsze tu będę, by ci odpowiedzieć. Jak wszystkie inne matki sprzed ery internetu, wierzyła

w siłę encyklopedii i nie przewidywała rewolucji, która zmiotła wszystkie nasze dawne zwyczaje i wykopała trudny do przebycia rów pomiędzy pokoleniami. Mimo wszystko z dorosłą już Mirą, zdarzało się jej pić na wydmach wino „z gwinta”, śpiewając na całe gardło i tańcząc. Niezależnie od tego, ile alkoholu pochłonęła poprzedniego wieczoru, codziennie o czwartej rano była już na nogach. Siadywała w zaniedbanej małej kuchni z widokiem na Tesco. Popijała sypaną kawę w brązowym kubku z duraleksu. Mira przekonała się o tym, kiedy już była nastolatką i wracała nad ranem po nocnym balowaniu: matka zawsze była na posterunku. Według pisarki, to nie niepokój spędzał jej sen z oczu, nie, mama miała po prostu taki rytm życia. Odwrotnie, to córka od zawsze bardziej obawiała się o matkę. O to, że nie da rady, zniknie, zgubi się gdzieś lub umrze. „Gdy trafiłam do Poradni Zdrowia Psychicznego po raz pierwszy, a miałam wtedy może piętnaście lat... – pisze Marcinów – pani doktor powiedziała: w gruncie rzeczy mama jest twoim dzieckiem”. Strach przed utratą matki towarzyszył więc autorce od zawsze. Nic dziwnego – były same, zdane na siebie. Jacyś mężczyźni, zastępczy ojcowie, gdzieś tam mającą się w tle opowieści, jednak na tyle nieznaczący, że właściwie pozostają na marginesie. Pojawia się też starsza siostra, ale trochę jak meteor – jakieś wspólne wspomnienie nocnej jazdy na sankach z wesołą mamą na rauszu, i to prawie wszystko. *Nota bene* mama w trakcie tej nierozsądnej eskapady łamie rękę. I to jest tu najważniejsze – radość z bycia razem podszyta była u córki wiecznym lękiem, że coś złego się może wydarzyć. Matka bywała źródłem największych przyjemności i największych przykrości – pisze Mira Marcinów.

Codziennie poranne telefony z każdego zakątka świata stały się ważnym punktem ich wzajemnej relacji, kiedy Mira poszła na studia. I to nie zdawkowe wymiany informacji w stylu – i co żyjesz, tak i jestem bezpieczna a ty, tak żyję i jestem zdrowa. Nie, to były prawdziwe rozmowy, czasami dyskusje przechodzące w kłótnie, ale bardzo im obu potrzebne. Kiedy mama zachorowała na raka i zaniemogła, córka przeprowadziła się do niej i była z nią do końca.

Przedwczesna śmierć matki skłoniła Mirę Marcinów do próby stworzenia jej portretu, jednak to emocje związane z poczuciem porzucenia, ze stratą, wypełniają ten tekst przede wszystkim. Ponoć generację dzisiejszych trzydziestolatków bardzo często łączą z rodzicami więzy prawdziwej przyjaźni. Bywają tak mocne, że utrudniają przecięcie przysłowiowej pępowiny. Przypuszczam, że śmierć rodzica, niejednokrotnie jedynego prawdziwego przyjaciela, może stać się źródłem wielkiej traumy. „Gdy umiera ci matka, to jest takie uczucie, jakby wrywano ci wnętrzności – te z klatki piersiowej – gołymi rękami...” pisze Marcinów. Stąd lament.

Opowiadanie jest skonstruowane na wzór pamiętnika. Niektóre zapiski mają na stronie jedno, dwa zdania, inne są znacznie dłuższe. Jeśli autorka oparła książkę na swoim prywatnym diariuszu, to widać wyraźnie, że wyrwano z niego tylko te kartki, na których była mowa o matce. Trochę szkoda, gdyż czytelnik pozostaje z uczuciem niedosytu. Chciałby może dowiedzieć się więcej o bohaterkach tej poetyckiej książki, lepiej zrozumieć łączące ich więzi...

Swoją drogą ciekawe jest pochodzenie tytułu. Słowem „bezmatek” nazywa się rój pszczeli, z jakiegoś powodu – najpewniej choroby czy śmierci – pozbawiony pszczoły matki. Taki rój

poznajemy po tym, że reaguje nerwowo i bezładnie. Nadchodzi bowiem jego definitywny koniec. Rój bez królowej – matki po prostu przestaje istnieć, zostaje unicestwiony...

Być może ten mocny tytuł jest tutaj trochę na wyrost, odrobinę zbyt pretensjonalny, ale trudno się nie zgodzić, że w jakimś sensie odzwierciedla emocjonalny nastrój całej książki. Na pewno zaś idea, która przyświecała pisarce w wyborze tego właśnie tytułu wpisuje się w feministyczny nurt kultury, w którym kobieta jest centrum wszechświata.

Mira Marcinów *Bezmatek*
Wydawnictwo Czarne, 2020



Ewa BIAŁY

Formy muzyczne – dwie symfonie numer 5

Wszystko gra

Piątką numerologiczną jest najbardziej żywiołowa ze wszystkich liczb. Czy numer, jaki nadają kompozytorzy swoim symfoniom ma wpływ na charakter dzieła? Zarówno V symfonia Beethovena, jak i V Mahlera są wyjątkowe. Nie możemy ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że Gustaw Mahler, jeden z największych kompozytorów przełomu XIX i XX wieku swoją najsłynniejszą najbardziej żywiołową V symfonię c-moll skomponował na wzór piątej symfonii c-moll Beethovena. Jednak nie brak w dziele Mahlera odniesień do mistrza z poprzedniego wieku. Jego V symfonia słynie między innymi z solowej partii trąbki otwierającej całe dzieło. Pojawia się tam znany z Beethovena motyw rytmiczny. Oba dzieła przepełnione są dramatyzmem i tragizmem zmierzającym do finałowego zwycięstwa i triumfu. W obu też tonacja wyjściowa różni się od finałowej – dzieła rozpoczynają się w trybie minorowym, a kończą w majorowym, co podkreśla ostateczną wiarę w *happy end* obydwu twórców. Beethoven jednak konstruuje swoje dzieło na allegro sonatowym, Mahler nie.

W ostatnim artykule starałam się wytłumaczyć czym jest allegro sonatowe oraz opisać formę sonatową. Forma ta po zmianach społecznych w Europie przeniosła się z muzyki kameralnej do symfonicznej i tam zaistniała już nie jako sonata, ale jako symfonia. Tak samo muzyka – przeniosła się z kameralnych sal arystokracji do wielkich mieszczańskich sal koncertowych, a zespoły muzyków rozrastały się do orkiestr z początku smyczkowych, potem symfonicznych z pełną obsadą instrumentów dętych aż do symfonicznych rozbudowanych, łączących nawet chóry i solistów (obsada premiery VIII symfonii Mahlera to orkiestra licząca 171 osób, trzy połączone chóry – w sumie 850 śpiewaków oraz 8 solistów.

Panowie Beethoven i Mahler nigdy się nie spotkali. Beethoven zmarł w 1827 roku w Wiedniu, Mahler urodził się w 1860 w Cesarstwie Austro-Węgierskim i też zmarł w Wiedniu. Obaj żyli trochę ponad 50 lat. Mahler 51, Beethoven 57 (dla zainteresowanych Bach np. przekroczył sześćdziesiątkę a Telemann osiemdziesiątkę, nie jest to więc specjalnie długie życie). Obaj byli niezbyt miłymi ludźmi. Ale ich symfonie to arcydzieła, są nie tylko popularne, ale również, dramatyczne, burzliwe, emocjonalne i przepiękne.

V symfonia c-moll op. 67 Ludwiga van Beethovena to jeden z najsłynniejszych i najczęściej wykonywanych utworów muzyki klasycznej. Powstała na przestrzeni 4 lat, od roku 1804 do 1808. Robert Schuman – inny niemiecki wybitny kompozytor epoki romantyzmu tak pisał o tym dziele: „Ileż się ją słyszy, działa na nas z niezmienną mocą, jak owe zjawiska przyrody, które, ileż się powtarzają, napełniają nas zawsze lękiem i zdumieniem”. Opis ten trochę przypomina nam „Cztery pory roku” Vivaldiego, ale przypomnijmy, Beethoven nigdy nie pisał programów do swojej muzyki. Innymi słowy należał do twórców, którzy nie dodają treści pozamuzycznych i nie czerpią z nich inspiracji. Symfonia rozpoczyna się charakterystycznym motywem rytmicznym, który jest nazywany „motywem losu”. Nazwa ta ma źródło w anegdocie, którą przekazał pierwszy biograf i sekretarz Beethovena z późniejszych lat jego życia, Anton Schindler. Beethoven na pytanie, jak interpretować słynny czteronutowy motyw otwierający V symfonię i przewijający się przez wszystkie jej części, miał rzekomo odpowiedzieć: „Tak oto Los puka do drzwi”. Warto w tym miejscu przypomnieć, że Beethoven cierpiał na długoletnią, powolną utratę słuchu, stąd niektórzy biografowie interpretują

dramatyzm jego dzieł jako dramatyzm stanu zdrowia. Ten przewijający się motyw jednak nie zaburza formy symfonii ani formy allegro sonatowego. Choć dyrygenci różnie interpretują motyw losu, a nawet toczą spory jak powinien być wykonywany, to nie wpływa to na interpretację całej części pierwszej skomponowanej w klasycznej formie allegro sonatowego. Są dwa tematy, jest praca tematyczna, przetworzenie i repryza. To czego pojawia się więcej to modulacje, czyli częste zmiany tonacji, które nadają charakterystyczny koloryt tej muzyce. Następne części to na stałe umieszczone w cyklu sonatowym Andante, Scherzo (tylko ze zmienioną kolejnością) i Allegro. To zadziwiające jak w tak klasycznie skonstruowanej formalnie strukturze mieści się tyle romantycznej ekspresji. Właściwie romantycznej wolności. Muzyka w tym czasie stała się celem samym w sobie. Dziełem wyłącznej inspiracji jednostki. Beethoven – choć brakowało mu niejednokrotnie płynności finansowej – nie musiał już pochlebiać dworowi królewskiemu i zabiegać o jego względy. Kompozycje nie trafiały już na listę zakupów arystokracji ani nie powstawały już na zlecenie, jako ozdoba nabożeństw. Oczywiście związane jest to z Rewolucją Francuską, która osłabiła sztywne ramy struktury społecznej, ale też pojawiła się nowa postawa wobec sztuki. Gdy wszyscy twórcy powoli przesuwali granice, Beethoven stawiał milowe kroki. Pozostawał w formie klasyczny, ale z determinacją łamał w każdej kompozycji to, co powstrzymywało jego romantyczną duszę. Ten apodyktyczny, nieurodziny, ospowaty i niechlujny mężczyzna, już w 1801 roku skarżył się w listach na stan swojego zdrowia, ale jego życie było pełne tej słynnej romantycznej wolności. W ciągu swojego życia zamieszkiwał w 33 mieszkaniach, a jeśli doliczyć do tego letnie domy to było ich 71. Choć był samotnikiem i czytał książki do późnych godzin nocnych, łatwo się zakochiwał, ale był odrzucany z powodu swojej szpetności i szaleństwa – pisze w swojej znakomitej książce *Wielcy kompozytorzy i ich czasy* Michael Steen. Beethoven skomponował 9 symfonii. Ta ostatnia z *Odą do radości* jest hymnem Unii Europejskiej. Była też pierwszą w historii symfonią wokalnie-instrumentalną, tzn. symfonią z udziałem chóru i solistów. V symfonia cis-moll Gustawa Mahlera powstała w miesiącach letnich 1901 i 1902 roku. Prawie

100 lat później niż beethovenowska. To symfonia miłości Gustawa do Almy. Almy Schindler. Ta niezwykle utalentowana młoda kobieta tworzyła również muzykę jednak zrezygnowała ze swoich ambicji wychodząc za Mahlera. V symfonia to triumf miłości apodyktycznego Gustawa i wolnej, 25 lat młodszej córki malarza. Lecz różnorodność ambicji i temperamentów nie dała szans tej miłości. Gustaw miał zmienne nastroje – od dziecięcej radości po rozpaczliwe cierpienie i trzymał się ściśle rozkładu dnia. Alma była żywiołowa, utalentowana. Komponowała, grała na fortepianie, miała temperament i niezwykłą inteligencję. Małżeństwo nie należało do udanych. Obydwoje mieli silne osobowości. Kryzysy pogłębiały romanse Almy i najtrudniejsze, co może spotkać rodziców – śmierć dziecka. Ostatecznie po śmierci Gustawa, Alma przeniosła się do Nowego Jorku, gdzie znana była w kręgach kulturalnych jako wybitna osobowość. Leonard Bernstein, wielbiciel muzyki Gustava Mahlera, podczas swoich wykładów wygłoszonych w 1973 roku – nadmieniał, że Alma była obecna na kilku jego próbach. Bernstein uważał ją za „żyjącą” ogniwo łączące z Mahlerem i Albanem Bergiem. V symfonia jest jedną z 11 jakie skomponował Mahler. Oryginalna jest jej budowa formalna. Zamiast klasycznego czteroczęściowego układu, symfonia posiada pięć części ujętych w trzy „rozdziały”: 1. Marsz żałobny, 2. Scherzo 3. Rondo Finale. W dziele możemy zaobserwować przejście poprzez cały wachlarz emocji. Od ponurej i dramatycznej pierwszej części, poprzez taneczne i bardziej optymistyczne scherzo – co podkreśla zastosowanie rytmu walca i lendlara, aż do miłosnego Adagietta i triumfującego Finału. Symfonia po dziś dzień cieszy się wielkim uznaniem. Według wytwórni Naxos to najczęściej nagrywana symfonia Mahlera. To, jak głębokie przeżycia wzbudza dzieło, podkreślają słowa Herberta von Karajana (*Świadectwo miłości – V Symfonia Gustava Mahlera*): „...Słuchając wykonania tej symfonii zapominasz o czasie. To doświadczenie pewnej transformacji. Fantastyczny finał niemalże zmusza do wstrzymania oddechu...”.

Dwie symfonie, dwa światy, jeden Wiedeń. Namiętności, śmierci, choroby, sława, pieniądze – czyli normalne życie, tyle, że upamiętnione arcydziełami.

Urszula ŁUKOMSKA

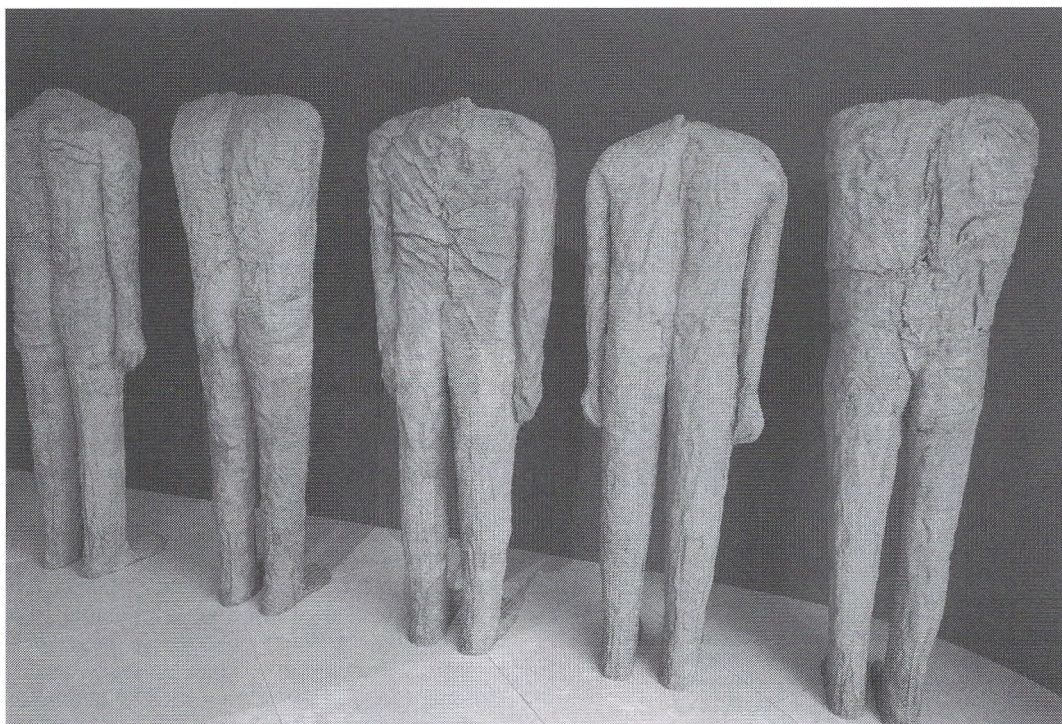
Magdalena Abakanowicz – „jesteśmy strukturami włóknistymi”

Słowa znanej artystki, wielkiej damy polskiej tkaniny unikatowej i rzeźby dają do myślenia. To jakby odniesienie do łączności człowieka z naturą i światem organicznym. Powiedziała to kobieta, najbardziej rozpoznawalna, polska artystka drugiej połowy XX w (1930–2017) podczas wykładu wygłoszonego w 1978 r. na Sympozjum Fiberworks w Berkley. Cytat ten umieszczono na banerze zawieszonym na fasadzie Muzeum Narodowego w Poznaniu, informującym o wystawie artystki zorganizowanej we współpracy z UAP z okazji nadania jej imienia uczelni. Magdalena Abakanowicz otrzymała tytuł doktora honoris causa tej uczelni (wówczas Akademia Sztuk Pięknych) w 2002 r., a od stycznia tego roku jest

oficjalnie patronką Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Uroczystość nadania imienia odbyła się w dniu inauguracji roku akademickiego. Z tej okazji, od 8 sierpnia do 24 października Muzeum Narodowe pokazało największą wystawę jej prac z różnych okresów twórczości. W połowie października z grupą uczestniczek Pracowni Ilustracji Biblioteki im. H. Święcickiego w Śremie i zaprzyjaźnionych koleżanek zwiedziliśmy wystawę w Muzeum Narodowym podziwiając jej dzieła, a także kreatywność i pracowitość artystki. Nie będę przytaczała wydarzeń z jej życia, można je znaleźć w internecie. Skupię się na wspomnieniach jej działań jako artystki i pedagoga. Byłam jej studentką w PWSSP w latach 60.

Fragment wystawy Magdaleny Abakanowicz *Jesteśmy strukturami włóknistymi* w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Fot. Barbara Jahns

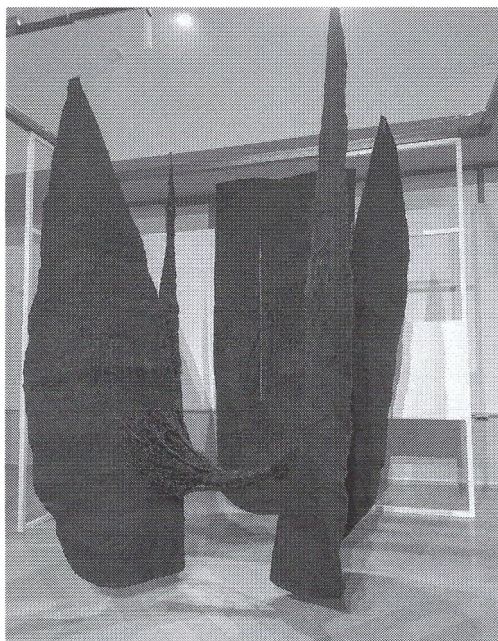




Fragment wystawy Magdaleny Abakanowicz *Jesteśmy strukturami włóknistymi* w Muzeum Narodowym w Poznaniu.
Fot. Barbara Jahns

Po ukończeniu warszawskiej Akademii, artystka malowała ogromne płótna i zajmowała się rozmaitymi projektami. Wkrótce zamieniła blejtramy na ramę gobelinową i zaczęła tworzyć unikatowe tkaniny fakturowe o zróżnicowanej powierzchni dzięki zastosowaniu rozmaitych włókien tkackich: wełny, lnu, jedwabiu, juty i sizalu, który okazał się wszechstronnym tworzywem. Gobeliny z tego okresu przypominają abstrakcyjne obrazy w dość wąskiej gamie barwnej albo rzeźbiarskie reliefy. Stąd już naturalna droga – przejścia od płaszczyzny do rzeźbiarskiej bryły... Powstały wtedy abakany, nazwane tak od nazwiska autorki, ostre w kolorze, miękkie struktury przestrzenne, głównie z barwionego sizalu, podwieszane, o organicznych odniesieniach. W tym momencie własnej twórczości, w 1965 r. Abakanowicz rozpoczęła pracę pedagogiczną w Poznańskiej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Zbiegło się to z wielkim sukcesem na Biennale Tkaniny w Sao Paulo w Brazylii – zdobyciem złotego medalu dla najciekawszej pracy.

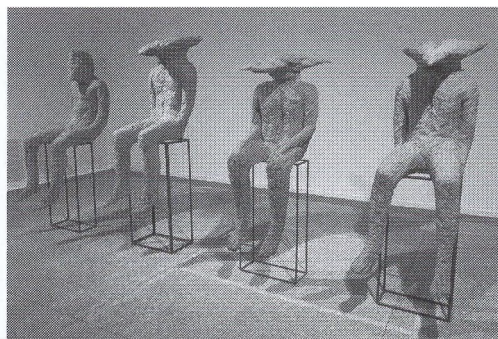
Jako studentka malarstwa musiałam wybrać dodatkowy kierunek tzw. specjalizację. Słowo wybrać brzmi na wyrost, większość koleżanek startowała na tkaninę, koledzy na drugi kierunek – malarstwo architektoniczne. Nie znaczy to, że taki podział wynikał z płci, ale w praktyce trochę tak to wyglądało. Profesor mieszkała w stolicy, przyjeżdżała na tydzień w miesiącu na korekty i omawianie kolejnych zadań. Dla mnie była największym autorytetem i stanęłabym na rękach by doceniła moją pracę. Każdy musiał przedstawić swoje projekty, rozłożyć je na stole i czekać na reakcję. Profesor długo się przyglądała lekko kiwając głową i na koniec padało oczekiwane zdanie „jest nieźle...”, emocje opadały i można było omawiać projekt. Zdarzały się też zdania typu „proszę to zabrać” i delikwent odchodził jak niepyszny, choć rzadko... Przyznam, że przed każdym przyjazdem zawałam nockę, bo nie wyobrażałam sobie, że mogę zawieść Pierwszą Damę. Była wymagająca, ale sprawiedliwa w ocenach. Pewną surowość wprowadzała ulubiona



Fragmenty wystawy Magdaleny Abakanowicz
Jesteśmy strukturami włóknistymi w Muzeum
Narodowym w Poznaniu. Fot. Barbara Jahns

czern w ubiorze, ale elegancja detali, miły głos, opowieści z „wielkiego świata” sprawiały, że nie mogłam doczekać się jej przyjazdu. Zakładając Pracownię gobelinu Magdalena Abakanowicz dążyła do nowego spojrzenia na tkaninę. Nie jak do tej pory na wyrób niejako rzemieślniczy o charakterze użytkowym lecz jako niezależne dzieło, często eksperymentalne. Taka postawa przywiodła do Poznania wielu zagranicznych studentów, co było niespotykane gdzie indziej. Pamiętam dziewczyny z Finlandii i Szwajcarii, które były zaskoczone poziomem prac polskich kolegów. Niedawno dowiedziałam się, że Finka wykłada na uczelni w Wiedniu, a koleżanka ze Szwajcarii jest znaną artystką w swoim kraju. Przez kolejne lata studiów i później śledziłam pasmo narastających sukcesów Profesorki na całym świecie. Wystawy w Ameryce i Azji, zachodniej Europie i Australii, wykłady na uniwersytetach w USA, liczne nagrody.

Zmieniające się prace przestały być tkaninami, stały się miękkimi rzeźbami. Najczęściej konstruowane były z szarobrunatnej juty w różnych rozmiarach. Podstawą stała się multiplikacja



obiektów. Artystka deklarowała: „Między mną a materiałem, z którego tworzę nie ma pośrednictwa narzędzi. Wybieram go rękami, rękami kształtuję”. Z tego okresu datuje się np. *Embriologia*.

Później zaczęła się dekada zaznaczona kompozycjami torsów lub całych postaci wykreowanych z juty i szarego papieru, utrwalonych żywicami, pokazywanych w formie grup, bo anonimowość w tłumie odnosiła się do nowych czasów... Poznańska wystawa pokazuje cykle: *Hurma*, *Plecy*, *Mutanty*, *Anatomia*. W latach 80. i 90. powstały multiplikacje z brązu i innych trwałych materiałów przyjmowane z zachwytem na całym świecie. Największa realizacja *Nierozpoznani* z 2002 r. złożona ze 112 figur żeliwnych znajduje się w Poznaniu, w Parku na Cytaдели. Powstała przy udziale Odlewni Żeliwa w Śremie. Magdalena Abakanowicz brała udział w wielu pokazach zbiorowych na wszystkich kontynentach, a spis jej wystaw indywidualnych jest też imponujący: m.in.: CBWA Zachęta, Warszawa (1965); Helmhous Zurych, Szwajcaria (1968); National Museum, Sztokholm, Szwecja (1970); Whitechapel Art Gallery, Londyn, Anglia (1975); National Gallery of Victoria, Melbourne, Australia (1976); Musee d'Art Moderne de la Ville de Paryż, Francja (1982); Marlborough Gallery, Nowy Jork (1989); Miami Art Museum, Miami, Floryda (1997); Metropolitan Museum of Art, Nowy Jork, USA (1999); Taguchi Fine Art, Tokio, Japonia (2004).

Poznańska wystawa, której kuratorką była Anna Borowiec, a aranżacją zajął się Rafał Górczyński odwiedzi jeszcze inne miejsca w Polsce i Europie. Na początek zobaczymy ją we Wrocławiu, a docelowo w stolicy Wielkiej Brytanii – Londynie.

Bartosz KLIMCZUK



Czas powrotu i podsumowań

B&B przez Ameryki. Część 14

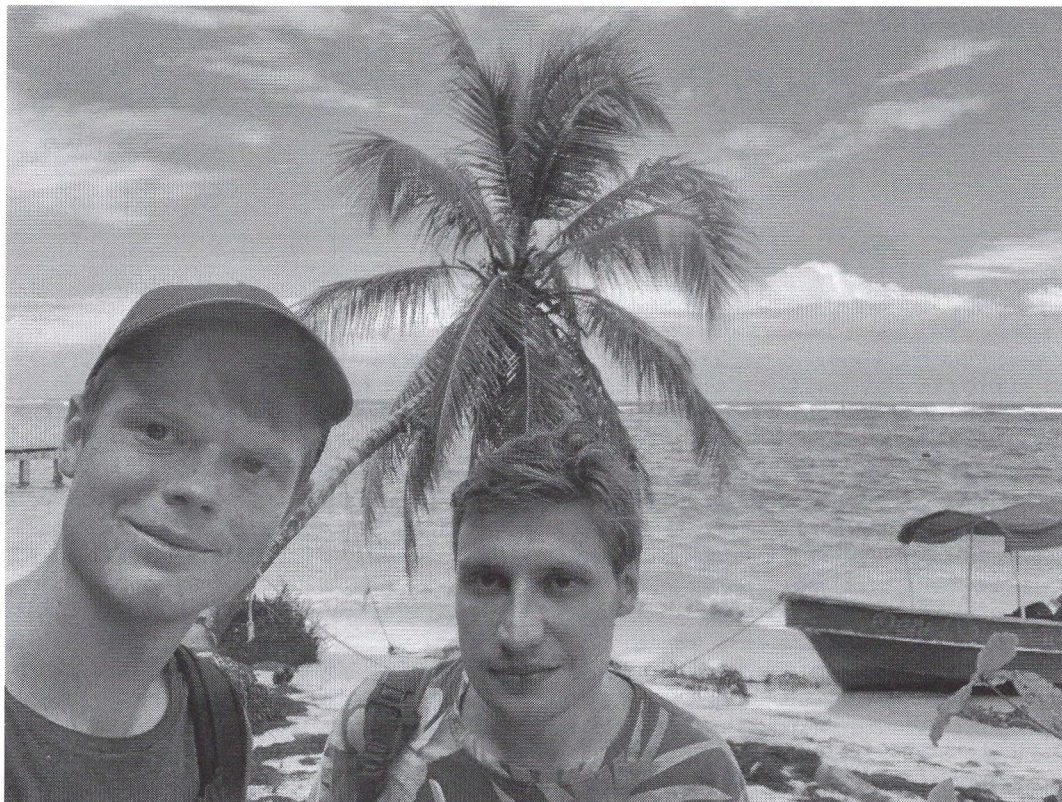
Zaostrzające restrykcje związane z rozprzestrzenianiem się koronawirusa w Peru skłoniły nas do możliwie jak najszybszego opuszczenia tego kraju. Na nasze szczęście w marcu 2020 roku w Ameryce Środkowej i Południowej przebywało całkiem sporo rodaków, dlatego też polski rząd postanowił zorganizować transport w ramach programu „Lot do domu”. Kupno biletu i dotarcie do stolicy nie należało jednak do najprostszych, o czym mieliśmy okazję wspominać w poprzedniej części naszej relacji. Pisaliśmy też o tym, że lot był dopiero następnego dnia, a nocleg w Limie musieliśmy zorganizować sobie sami. Ze względu na bardzo restrykcyjnie przestrzeganą godzinę policyjną, spędzenie kilkunastu godzin na ulicy nie wchodziło w grę. Dodatkowo, wszystkie hotele były pozamykane i ich właściciele ani myśleli, żeby zrobić dla nas wyjątek. Na szczęście rzutem na taśmę, po interwencji polskiej ambasady, jeden obiekt w centrum miasta ugościł nas wszystkich. Oczywiście, musieliśmy z własnej kieszeni pokryć kwotę podaną przez administratora hotelu, ale na tym etapie nikt o oszczędzaniu pieniędzy za bardzo nie myślał.

Gdy już leżeliśmy w hotelowych łóżkach, emocje trochę z nas opadły. Czuliśmy, że najgorsze już chyba za nami i najpewniej następnego dnia będziemy już w samolocie do Polski. Lot w ramach rządowego programu mógł odbyć się wyłącznie z lotniska wojskowego, ponieważ wszystkie inne były w Peru już od jakiegoś czasu zamknięte. Nie było także możliwości, abyśmy zwartą grupą tam po prostu dotarli, ale ten organizacyjny problem wzięła na siebie na szczęście polska ambasada.

Następnego dnia, po zjedzeniu obfitego śniadania, przed hotelem czekało na nas kilka busów, które przewiozły nas do siedziby ambasady RP w Limie. Obszar polskiej placówki dyploma-

tycznej w Peru jest całkiem spory, mimo to wszyscy Polacy zainteresowani „Lotem do domu” ledwo pomieścili się w ogrodzie ambasady. Gdy już o nim mowa, to musimy przyznać, że zrobił na nas niesamowite wrażenie: bujna, ale zadbana zieleń, krystalicznie czyste oczka wodne oraz swobodnie spacerujące sobie gdzieś tam żółwie. Niektórzy z nas z oporami siadali na tak wypielegnowanej trawie, o jakimś większym piknikowaniu nie wspominając. Personel ambasady w ramach swoich skromnych możliwości robił co mógł, abyśmy czuli się tam komfortowo. Wśród wszystkich chętnych do odlotu rozdawano butelki z wodą, owoce oraz maseczki. Umożliwiono również korzystanie z łazienek i toalet znajdujących się na terenie ambasady. Po jakimś czasie wszystkich nas zebrano w jednym miejscu, gdzie przywitała nas prof. Magdalena Śniadecka-Kotarska, Ambasador RP w Peru. Przeprosiła zebranych w ogrodzie ze wszelkie niedogodności i zapewniła, że już wkrótce wszyscy bezpiecznie trafimy do ojczyzny. Po tych ciepłych słowach i wykonaniu wspólnego, pamiątkowego zdjęcia, odwieziono nas autobusami pod policyjną eskortą na wojskowe lotnisko.

Na miejscu nic nie przypominało standardowego terminalu, do których przywykliśmy korzystając z komercyjnych lotów. Zgromadzono nas wszystkich pod sporych rozmiarów namiotem, gdzie ustawiono całe rzędy plastikowych, prostych krzeseł. Nie było żadnej odprawy, żadnych bramek (nawet tych sprawdzających, czy mamy przy sobie jakieś płyny, czy coś metalowego), a cywilną obsługę zastąpili peruwiańscy żołnierze. Przez cały czas oczekiwania na samolot nikt nam nie kazał otwierać bagażu, raz tylko mundurowi przeszli między siedzącymi z psami wyszkolonymi w poszukiwaniu m.in. narkotyków.



Ani przez chwilę nie żałowaliśmy rozpoczęcia latem 2019 roku naszej podróży. Fot. Bartosz Klimczuk

Żołnierzy w ogóle nie interesowały też nasze bilety, te na miejscu sprawdzał pracownik polskiej ambasady, który towarzyszył nam aż do momentu wejścia na pokład.

Oczekiwanie na przylot samolotu nieco się dłużyło. W tym czasie dla kilkusobowej grupki Polaków trwał istny wyścig z czasem. Oni bowiem o permanentnym lockdownie dowiedzieli się w momencie przebywania w niemalże całkowicie odciętej od świata miejscowości w środku dżungli amazońskiej. Na wojskowe lotnisko w Limie dotarli małym samolotem, nie kryjąc swojej radości, gdy już mogli usiąść między resztą Polaków uciekających z Peru.

Do momentu wylotu wszystko obyło się bez większych komplikacji. Pewne problemy zaczęły się już w trakcie powrotu, a konkretnie w momencie przystanku w mieście Cancún w Meksyku. Tam samolot został zatankowany i przyjął na

swój pokład kilku rodaków, którym pandemia pokrzyżowała wakacyjne plany w tym znanym i lubianym kurorcie nad Morzem Karaibskim. Postój trwał znacznie dłużej niż piloci zakładali, ponieważ nagle niektóre stany USA zamknęły swoją przestrzeń powietrzną dla samolotów, także konieczne było opracowanie nowej trasy powrotu do Polski. Gdy po kilku godzinach udało się załatwić wszystkie niezbędne zgody, ponownie wznieśliśmy się w powietrze. Następnego dnia wylądowaliśmy uradowani i potwornie zmęczeni na lotnisku w Warszawie. Nikt nie myślał, żeby teraz chwilę odpocząć, tylko wszyscy od razu pobiegli do odpowiednich terminali, gdzie można było zarezerwować sobie bilet na autobus do niemalże wszystkich większych miast w Polsce. Za to akurat płacić nie musieliśmy, ponieważ program „Lot do domu” zawierał w sobie nasz transport do Poznania. Trzeba było tylko



Mamy nadzieję, że w niedalekiej przyszłości dane nam będzie dalej poznawać latynoamerykańską kulturę.
Fot. Bartosz Klimczuk

wystać swoje w kolejce i zapisać się na konkretną godzinę. Do stolicy Wielkopolski dotarliśmy w nocy, a stamtąd na szczęście udało nam się zorganizować sobie od razu samochód do Śremu. Nasza podróż zakończyła się na początku przemierzania Peru, czyli zanim jeszcze zdążyliśmy dobrze się „wgryźć” w Amerykę Południową. Największe atrakcje i państwa, które szczególnie chcieliśmy zobaczyć na tym kontynencie, były dopiero przed nami. Pandemia koronawirusa pokrzyżowała jednak nie tylko nasze plany. Nadal mamy szczerą nadzieję, że w niedalekiej przyszłości uda nam się odwiedzić ponownie Peru, a potem Boliwię, Chile czy Argentynę. Państwa te powoli się już otwierają i liczymy, że sytuacja będzie się tam z miesiąca na miesiąc polepszać. Czas pokaże, czy nasz optymizm jest przesadzony, a koronawirus na całej szeroko pojętej turystyce odcisnie już trwałe, nieusuwalne piętno. Nie brak bowiem ekspertów, którzy na łamach różnych branżowych pism wieszczą koniec niezwykle łatwego podróżowania, do jakie-

go w ostatnich latach przywykliśmy. Nie jest to jednak zagadnienie związane wyłącznie z koronawirusem, ale także, a może przede wszystkim, z walką o ochronę planety. W ocenie niektórych, to właśnie częste podróże samolotami przyczyniają się do degradacji naszego wspólnego środowiska. Bez względu jednak na to, jak będzie wyglądała przyszłość, absolutnie nie żałujemy rozpoczęcia latem 2019 roku naszej podróży i nie mamy także żalu o to, że zakończyła się przedwcześnie. Z drugiej strony patrząc, interesujące obserwacje i doświadczenia co do tego, jak wyglądały początki pandemii koronawirusa w państwach Ameryki Południowej pozostaną z nami już na zawsze.

Katarzyna GRZEGORCZYK

Szkoła bez zadań domowych?

Okiem belfra

Wychodzę późnym popołudniem z sali lekcyjnej. Zamykam drzwi przepełniona z jednej strony ulgą, że kolejny pracowity dzień chyli się ku końcowi, a z drugiej satysfakcją, że udało się spotkać z uczniami, porozmawiać, zainteresować, a chociażby zmotywować do myślenia. Co przede mną? Przede wszystkim praca nad tym, co jutro, czyli przygotowanie materiałów do kolejnej lekcji, przeszukiwanie zasobów internetowych. Może fragment filmu, może utwór muzyczny, a może spektakl... Muszę także zajrzeć do uczniowskich prac – tego, co dziś napisali, stworzyli lub odtworzyli. Zanurzę się w świat przemysłu młodych ludzi i sprawdzę, co im w duszy gra. Takie moje zadania domowe.

A co jeszcze dziś przed polskimi uczniami? Zamknięcie drzwi prowadzących do szkoły to dla nich niestety nie koniec zmagania ze szkołą. Wrócą do domów i wielu z nich zamiast oddać się zainteresowaniom, pasjom, treningom i przyjemnościom, będzie musiało zasiać do pracy nad zadaniem domowym. Ile czasu polscy uczniowie poświęcają szkole? Minister mówi, że nieco ponad trzydzieści godzin tygodniowo. Niestety to tylko godziny spędzone w szkolnej ławce. Ci młodzi ludzie muszą jeszcze wykonać szereg ćwiczeń i zadań, przeczytać teksty, przyswoić dane. Wiele z nich nie zdąży pójść na spacer, zagrać w piłkę, czy obejrzeć ulubionego filmu. Dorosły człowiek spędza w pracy zwykle około ośmiu godzin. Potem ma czas na domowe obowiązki, zainteresowania, czy po prostu bycie z bliskimi. Czasem pracuje więcej? Oczywiście, bywa i tak. Ale za nadprogramowe godziny otrzymuje wynagrodzenie. A dzieci i młodzież? Młodzi ludzie powinni szukać swoich pasji. To czas na rozwijanie talentów, zdobywanie nowych umiejętności i doświadczeń. To moment budo-

wania relacji z rówieśnikami. Właśnie na tym etapie życia najmłodsi i nieco starsi uczą się funkcjonować w grupie i spełniać swoje marzenia. Niestety w obliczu dzisiejszej szkoły – instytucji doba okazuje się zbyt krótka. Wypełniony po brzegi szkolnymi obowiązkami plan dnia nie przewiduje chwili wytchnienia. A czasem, gdy taka się pojawia, uczeń nie ma już sił, by wykazać się jakąkolwiek aktywnością.

Czy szkoła mogłaby istnieć bez zadań domowych? Czy można by zaniechać zadawania ćwiczeń, referatów i wypracowań? Gdyby udało się zmodyfikować podstawy programowe tak, aby odpowiadały współczesnemu światu i jego wymaganiom... Gdyby przekonać nauczycieli, że nauczanie to odkrywanie, a nie zakuwanie...

Gdyby dać młodym ludziom poczucie odpowiedzialności za to, czego się uczą. Gdyby... Czy szkoła miałaby jeszcze sens? Czy nauczyciel nie straciłby autorytetu bez zwyczajowej formułki na koniec lekcji „Zapiszcie sobie zadanie domowe”? Oczywiście, że taka szkoła miałaby sens! A jaką byłaby radością dla ucznia, który może poświęcić czas na to, co kocha.

Młody człowiek, który ma szansę poświęcić czas i energię na rzeczy nowe, budzące ciekawość, motywujące do działania, jest gotów, by łatwiej i szybciej przyswajać wiedzę. Zamiast zadawać uczniom kolejny rozdział z podręcznika do historii, zabierzmy ich do miejsc pamięci, pokażmy żywą historię. Nie katujmy kolejnym dramatem Mickiewicza, a zaproponujmy wizytę w teatrze, by spotkać się z żywym słowem. Uczmy przez doświadczenia i dla życia. Udowodnijmy, że szkoła nie jest tworem sztucznym, przeszkodą w rozwoju i złośliwym wymysłem kolejnych pokoleń nauczycieli.

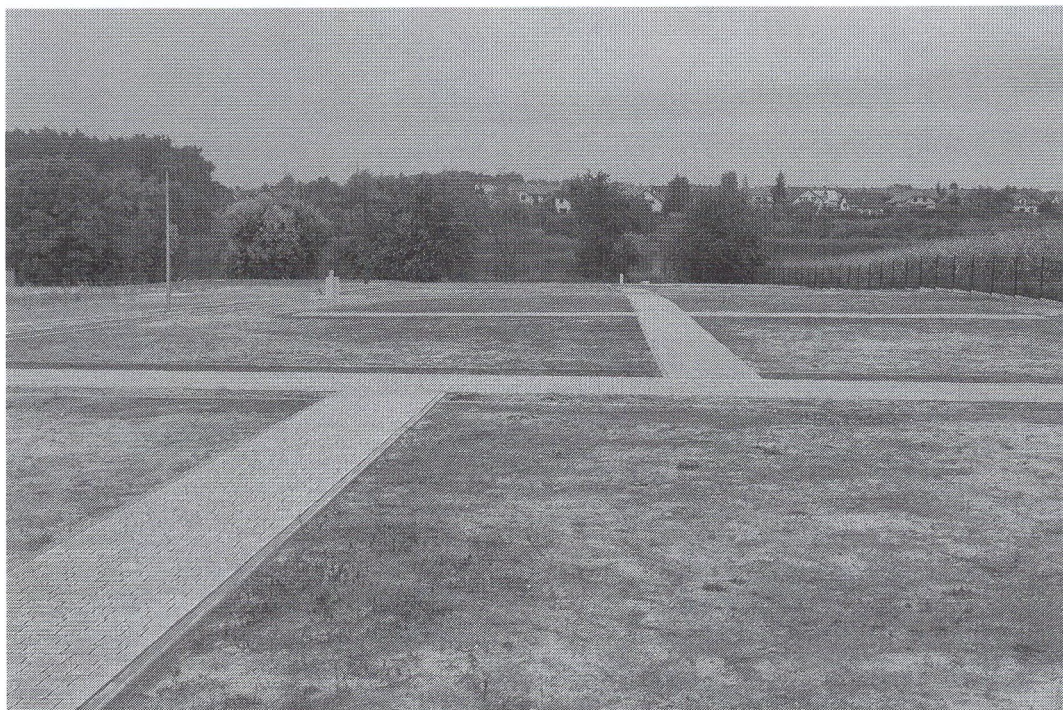


Wieści z ratusza

CMENTARZ KOMUNALNY ROZBUDOWANY

15 października br. otwarto nową część Cmentarza Komunalnego w Śremie przy ul. Malczewskiego. Docelowo przewidziano tu łącznie ok. 3300 miejsc pochówku w formie grobów ziemnych, grobów murowanych, grobów urnowych oraz urn w kolumbarium. Cmentarz został poświęcony przez ks. Mariana Bruckiego Dziekana Dekanatu Śremskiego, w asyście proboszczów śremskich parafii.

W 2017 r. gmina Śrem zleciła opracowanie Opinii geologicznej z dokumentacją badań podłoża gruntowego dla rozpoznania warunków gruntowo-wodnych dla planowanego rozszerzenia Cmentarza Komunalnego w Śremie. Wykonano wstępną koncepcję programowo-przestrzenną dla zagospodarowania terenu. Państwowy Powiatowy Inspektor Sanitarny w Śremie decyzją z lutego 2018 r. wyraził zgodę na rozszerzenie Cmentarza Komunalnego.



Rozbudowa cmentarza komunalnego została podzielona na trzy etapy. W wykonanych dwóch etapach zrealizowano prace ziemne, instalacje punktów poboru wody, kanalizację deszczową, instalacje energetyczne, alejki, ogrodzenie, kolumbaria oraz postawiono krzyż. Koszt tych prac wyniósł 2.449.707,34 zł. Trzeci etap rozbudowy cmentarza będzie kontynuowany w 2022 r.

We wrześniu 2021 r. Rada Miejska w Śremie podjęła uchwałę w sprawie przystąpienia do sporządzenia miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego cmentarza komunalnego w Śremie. Docelowo uchwała zabezpieczy w przyszłości dalszą rozbudowę cmentarza komunalnego.

JUBILEUSZ „CZWÓRKI”

Szkoła Podstawowa Nr 4 im. Marii Konopnickiej w 2021 r. obchodzi Jubileusz 50-lecia.

14 października br. zorganizowano wielkie obchody, w których uczestniczyły osoby związane ze szkołą: uczniowie, nauczyciele, władze samorządu śremskiego, przedstawiciele różnych śrem-

skich instytucji. Wśród gości nie zabrakło osób, które wiele lat temu opuściły mury szkoły oraz emerytowanych nauczycieli i dyrektorów.

Jubileusz rozpoczął się mszą św. oraz przemarszem w towarzystwie orkiestry dętej. Oficjalna uroczystość w sali gimnastycznej szkoły była okazją do wspomnień. Gałę wzbogaciły występy uczniów i koncert harfisty. Goście, m.in. burmistrz Adam Lewandowski na ręce obecnej dyrektorki szkoły p. Arlety Krysztofiak wyrazili życzenia sukcesów na kolejne lata działalności szkoły. Jubileuszowe obchody stały się też okazją do obejrzenia starych fotografii, kronik i innych pamiątkowych zasobów szkoły.

RÓŻOWA WSTAŻKA NA ŚREMSKIM RATUSZU

Od wielu lat październik uznawany jest na całym świecie za miesiąc świadomości raka piersi. W tym szczególnym okresie podejmowane są tematy związane z profilaktyką, diagnostyką oraz nowoczesnym leczeniem nowotworów piersi.



W ramach kampanii 15 października przypada Europejski Dzień Walki z Rakiem Piersi, którego symbolem jest różowa wstążka. Symbolicznie z tej okazji został podświetlony śremski ratusz.

BEZPIECZNA DROGA DO SZKOŁY

11 października pierwszoklasiści ze szkół podstawowych w gminie Śrem wzięli udział w akcji „Bezpieczna droga do szkoły”. Akcja organizowana jest od lat przez Radę Programu Bezpieczne Miasto. Jej celem jest przekazanie zasad bezpiecznej komunikacji na drogach i chodnikach przy aktywnym udziale uczestników. Dzieci poznały zasady ruchu drogowego dla pieszych na przykładzie inscenizacji z udziałem policjanta i przechodnia łamiącego przepisy.

SENIORZY NA SENIORIADZIE

27 września br. seniorzy brali udział w VII Śremskiej Senioriadzie Igrzyskach sportowo-kulturalnych 50+, imprezie zorganizowanej przez Towarzystwo Pomocy Potrzebującym im. św. Brata Alberta „Nadzieja” patronował m.in. Burmistrz Śremu Adam Lewandowski.

Olimpiada odbyła się w Gajówce w Zbrudzewie. Uczestniczyło w niej 220 osób – dziewięć drużyn reprezentujących różne kluby seniora. Uczestnicy startowali w ośmiu konkurencjach, m.in.: rzuty do tarczy, podbijanie piłeczki, strzelanie z wiatrówki, kręgle. Wydarzenie współfinansowane było ze środków Samorządu Województwa Wielkopolskiego w ramach projektu: Realizacja przedsięwzięć na rzecz integracji międzypokoleniowej pt. „Aktywność nie ma wieku”.

AKTYWNIE W PARKU ŚREMSKICH ODELEWNIKÓW

W Parku Śremskich Odlewników powstał skatepark. Inwestycja za kwotę 298 tys. zł obejmowała przygotowanie specjalnej nawierzchni, instalację lamp oraz przeniesienie urządzeń z Parku im. Powstańców Wlkp. W 2022 roku w skateparku zostaną zainstalowane kolejne nowe urządzenia dla miłośników rolek, deskorolek i rowerów wycieczkowych. Aktywny wypoczynek w parku zapewniają młodszym i starszym, dostępne przez cały rok: plac zabaw, pumptrack, siłownia, street workout. Relaksu można zażyć również podczas spacerów alejkami w otoczeniu jesiennej przyrody czy w sąsiedztwie tętni.

WYNIKI GŁOSOWANIA BUDŻETU OBYWATELSKIEGO ŚREMU

W dniach od 17 do 26 września 2021 r. mieszkańcy gminy Śrem wybierali projekty zgłoszone w Budżecie Obywatelskim Śremu. W 2022 r. gmina Śrem zrealizuje po 2 projekty z każdej kategorii z największą liczbą głosów. Mieszkańcy gminy Śrem oddali łącznie 9175 głosów.

Liczba oddanych głosów:

PROJEKTY OGÓLNOGMINNE

Czas na sport i zabawę – DanceSquare to jest to!

3594 głosy

Boisko sportowe (Dąbrowa) –

2182 głosy

Kompleks lekkoatletyczno-siatkarski (Nochowo)

1752 głosy

Jezioro atrakcji bez barier – zagospodarowanie terenu plaży miejskiej

920 głosy

Modernizacja boiska do koszykówki w Krzyżanowie

360 głosy

PROJEKTY LOKALNE MIEJSKIE

Bieżnia lekkoatletyczna w Szkole Podstawowej Nr 6 w Śremie

3557 głosów

Boisko Marzeń (teren przedszkola Jarzębinka)

1849 głosy

Dziecięcy tor przeszkód nad Wartą

1257 głosy

Budowa boiska do piłki siatkowej plażowej oraz „siłowni pod chmurką” przy SP1 Śrem

1183 głosy

Promocja regionu – kamery online

344 głosy

PROJEKTY LOKALNE WIEJSKIE

Bieżnia Lekkoatletyczna w Bodzyniewie

3456 głosy

Stacje naprawy rowerów przy szlakach rowerowych – Nochowo, Dalewo, Bodzyniewo, Krzyżanowo, Pysząca, Dąbrowa

2078 głosy

Plac sportowo-rekreacyjny w Błociszewie

1988 głosów

Oświetlenie terenu rekreacyjnego oraz płyty boiska w Dalewie

437 głosy

listopad grudzień 2021



63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 89
tel/fax: 61 2835938
www.muzeum.srem.pl
e-mail: muzeum@srem.pl

MUZEUM ŚREMSKIE

KOREK GRA Z NAJLEPSZYMI

KOREK GRA NALEPĘ
ze specjalnym udziałem
JERZEGO STYCZYŃSKIEGO

SALA WIDOWISKOWA MUZEUM ŚREMSKIEGO
ul. A. Mickiewicza 89, tel. 61 28 25 938, 668 847 130
Bilety: przedsprzedaż - 30 zł, w dniu koncertu - 40 zł

27 | 11 | 2021 g. 19.00 Bilety ²⁴



KOMEDIA

Ławeczka w słońcu

RON CLARK

OBSADA:

GRAŻYNA BARSZCZEWSKA W ROLI ADRIENNE

WOJCIECH WYSOCKI W ROLI ALFREDA

SYLWESTER MACIEJEWSKI W ROLI HAROLDA

Życie
zaczyna się...
kiedy tego
chcesz

PRZEKŁAD: **BOGUSŁAWA PLISZ-GÓRAL**; REŻYSERIA: **DARIUSZ TARASZKIEWICZ**; MUZYKA: **JACEK ZAMECKI**
SCENOGRAPHIA I KOSTIUMY: **KATARZYNA GABRAT-SZYMAŃSKA**; CHOREOGRAFIA: **JANJA LESAR I KRZYSZTOF HULBOJ**
PRODUCENCI: **ŁUKASZ NIEZGODA, EWA RĄCZY**; PRODUCENT WYKONAWCZY: **JOANNA WYSOCKA**

Spektakl
dofinansowany
ze środków
Funduszu
Wspierania Kultury



STACJA ART
Impresariat Artystyczny
www.stacjaart.pl

12.12.2021, godz. 17.00

SALA WIDOWISKOWA MUZEUM ŚREMSKIEGO, UL. A. MICKIEWICZA 89, TEL. 61 28 35 938

III CTW-00 71

Produkcja



Koprodukcja



Partner



listopad | grudzień 2021

 śremski ośrodek kultury

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 77
tel: 61 2835904, fax: 61 2810081
www.sok-srem.pl
e-mail: biuro@sok-srem.pl

A MOŻE... SEANS NA ŻYCZENIE?



Zadzwoń i zamów seans specjalnie dla
rodziny, przyjaciół, współpracowników,
uczniów lub podopiecznych
(minimalna liczba uczestników: 30 osób)

Szczegóły pod numerem telefonu: 61 28 35 904
i 61 28 30 710 lub adresem e-mail: kinoteatrslonko@gmail.com



Gala musicalowo–operetkowa już za nami. Gdy ucichnie muzyka, pozostają piękne wspomnienia przepełnione wspaniałymi dźwiękami.

W niedzielę, 17 października w sali widowiskowej Muzeum Śremskiego odbyła się gala operetkowo–musicalowa *Wielka Sława to żart*. Na scenie wystąpili znakomici artyści: Emilia Zielińska (sopran), Mirosław Niewiadomski (tenor) oraz Mariusz Adam Ruta (tenor). Solistom towarzyszył zespół instrumentalny pod dykcją Adama Wojtasia. Publiczność usłyszała utwory operetkowe, musicalowe, filmowe i estradowe. Wśród nich między innymi: *Wielka sława to żart*, *Co się dzieje oszaleje*, *Bell, Memmory*”, *Hallelujah*, *New York, New York*, *Volare* czy *Time to say goodbye*.

Organizatorem tej niezwykłej podróży muzycznej był Śremski Ośrodek Kultury. Współorganizatorzy to gmina Śrem oraz Muzeum Śremskie. Produkcja koncertu: Business Art Renata Brukiewicz.

Już dziś zapraszamy Państwa na galę noworoczną, która odbędzie się 22 stycznia 2022 roku.

listopad grudzień 2021



Biblioteka

Publiczna im. H. Święckiego
w Śremie

63-100 Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel: 61 2835467, fax: 61 2837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl



Noc bibliotek 2021 pod hasłem „Czytanie wzmacnia” już za Nami.

Wzmocniliśmy mięśnie, umysł i nie tylko...

Była muzyka, taniec, film, gry, zabawy, siłownia, najstarsze egzemplarze w zbiorach biblioteki, pogoń biblioteczna. Dla każdego coś dobrego. Ten niezwykły wieczór celebrowali również mieszkańcy Pyszącej oraz Wyrzeki w filiach naszej Biblioteki.

Dziękujemy licznie przybyłym czytelnikom i wzmocnieni udaną akcją z niecierpliwością czekamy na kolejną edycję wydarzenia w przyszłym roku.





Pałac w Brodnicy, rys. Tomasz Mazurczak

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875 030
e-mail: gazeta@muzeum.srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Ewa NOWAK (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

I – Fot. Sławomir Radziejewski
IV – Fot. Piotr Pieczykołan

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

via drukomatic.pl

jest,
było,
się mówiło

ul. Mickiewicza 3

Dom Antoniego Szuberta – rzeźnika i jego żony
Władysławy. Obecnie duży sklep PSS.





ISSN 1232-7476



9 771232 747100

11